



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO-KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

nr 1/2013 {109}

Zmartwychwstanie

~ Edward Przebieracz ~

trzeciego dnia
powstał z martwych

równie szybko
pojawiły się różne cudaczne teorie
o oszustwie uczniów
pomieszaniu zmysłów
pomyleniu grobów
pozornej śmierci
subiektywności wizji

całe szczęście że był Tomasz

z tomiku „Perły i wiersze”, Tarnowskie Góry 2011



Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych życzymy Państwu, by ten szczególnie czas przyniósł odrodzenie nadziei, radości i miłości by wzbudził chęć nieustannego poszukiwania i dążenia do wyznaczonych celów. Niech Tajemnica Wielkiej Nocy umocni w Nas wiarę, pozwoli dostrzec piękniejsze oblicze codzienności i cieszyć się każdym dniem.

*Redakcja
Magazynu Społeczno-Kulturalnego
Ziemia Lubliniecka*

*Starosta Lubliniecki
Joachim Smyła*

~ Spis treści ~

- 3* O tradycjach, zwyczajach i obyczajach okresu wielkanocnego w naszej kulturze
- Wiersze wielkanocne* *6*
- 7* Bohaterowie naszych ulic
- Parafia wojskowa w Lublińcu w latach 1922-1939* *8*
- 10* Pół wieku pod skrzydłami służby zdrowia
- Zakład psychiatryczny w Lublińcu w okresie międzywojennym* *12*
- 14* Cudze chwalicie... swego nie znacie
- Spacerkiem po starym Koszęcinie* *16*
- 18* O ostatniej podróży hrabiego Ballestrema opowiadał Roman Olczyk
- Śladami historii. Historia Karliczka i Karolinki – z Czech przez Prusy do Polski* *19*
- 20* Karolinka jest wśród nas
- 130 lat zorganizowanego rzemiosła w Koszęcinie* *22*
- 24* Ziemia Lubliniecka w obiektywie
Czekamy na wiosnę

Ziemia Lubliniecka – Magazyn Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Powiat Lubliniecki

Redaktor naczelny: Jan Myrcik,

pismo redagowane przez Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu, ul. Paderewskiego 7, tel. (34) 35-10-500, wew. 601, e-mail: gazeta@lubliniec.starostwo.gov.pl

Nakład: 3000 egz.

Skład i druk: Drukarnia Sil-Veg-Druk; www.svd.pl; tel.: 34 356 29 61

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój 21. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nieprzyjmowane są artykuły niepodpisane. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

O tradycjach, zwyczajach i obyczajach okresu wielkanocnego w naszej kulturze

Z nieskrywanym zainteresowaniem, jako młody człowiek – a było to prawie pół wieku temu – wsłuchiwałem się w radiowej „Trójce” w przedwzorny serial programów z cyklu „wykładów mniemanologii stosowanej”. Jan Tadeusz Stanisławski charakterystycznie zatytułował je: „O wyższości Świąt Wielkiej Nocy nad Świętami Bożego Narodzenia”.

Faktycznie ówczesny system laicyzujący wszelkie formy kultury społecznej miał łatwiejsze zadanie w zeświecczeniu Świąt Bożego Narodzenia. Wprawdzie oficjalnie nie unikano nazwy tych świąt i często określano je „Dzieciatkami”, to jednak starano się odsunąć wszelkie skojarzenia religijne. Najważniejsze w ich promocji były choinki z bezlikami ukrywanych prezentów, święta gwiazdki, wielu świecidełek, wigilijnej „uczty postnej”, składającej się z kilkunastu dań, Mikołaja (byłe nie świętego) – na wzór Dziadka Mroza, Świętego Klauna czy śmiesznego krasnala, świąt sanek, śniegu, Sylwestra i szczęśliwego Nowego Roku. A tu ów radiowiec, aktor i satyryk w przedwzornie swobodny sposób pokazywał w naszej wiekowej, polskiej kulturze, tradycji, a nawet kuchni, jak wiele jest zwyczajów oraz wątków obyczajowych związanych właśnie z przeżywaniem Wielkiego Postu i Świąt Wielkiej Nocy.

Sięgam pamięcią do swych lat młodości. Pytam sporo starszych od siebie mieszkańców naszej ziemi – z różnych środowisk, a także zaglądam do opracowań i publikacji etnograficznych, aby przypomnieć zwyczaje i tradycje związane z przeżywaniem liturgicznego okresu wielkanocnego. Właśnie tak. Wiele, a może i wszystkie historycznie znane zwyczaje, obyczaje, tradycje ludowe, gdzieś w swym zanadrzu zawsze skrywają wątek religijny, który był u ich początku i określał zachowania różnych środowisk.

Popielec

40 dni przed świętami wielkanocnymi w Kościele rozpoczyna się Wielki Post. Liturgia w tym dniu przypomina wierzącym, że nie tyle mają rozrywać szaty swoje, ale wszelkiego rodzaju kajdany zła. Na znak podejmowania postów, czynów pokutnych i woli nawracania się do Boga – w czasie Mszy Świętych w Środę Popielcową następuje ceremonia posypania głów poświęconym popiołem ze spalonych palm z ubiegłorocznej Niedzieli Palmowej. Posypanie głów, a czasami tylko naznaczenie czoła wiernych – popielonym kciukiem kapłana – nie wymaga poprzedniej spo-

wiedzi, chociaż w swym zamyśle zakłada szczerą wolę poprawy ze złego postępowania i podejmowania różnych postanowień. Dlatego też bardzo wielu chrześcijan w tym dniu przychodzi do kościoła, aby przyjąć „Popielec”. Przyprawiają często do tej ceremonii nawet małe

dzieci, chociaż te nie mają świadomości grzechu czy nawracania się. Niektórzy przy okazji proszą o popiół, zanoszony w swoich książeczkach do nabożeństwa domownikom chorym, starszym, nieobecny w kościele.

W tym dniu, a potem jeszcze w Wielki Piątek prawo kościelne domaga się od dorosłych i zdrowych katolików postu ścisłego. Dawniej do postu w piątki dodawano jeszcze poszczenie (bez potraw mięsnych i wędlin) w poszczególne środy i soboty. Dla wielu –

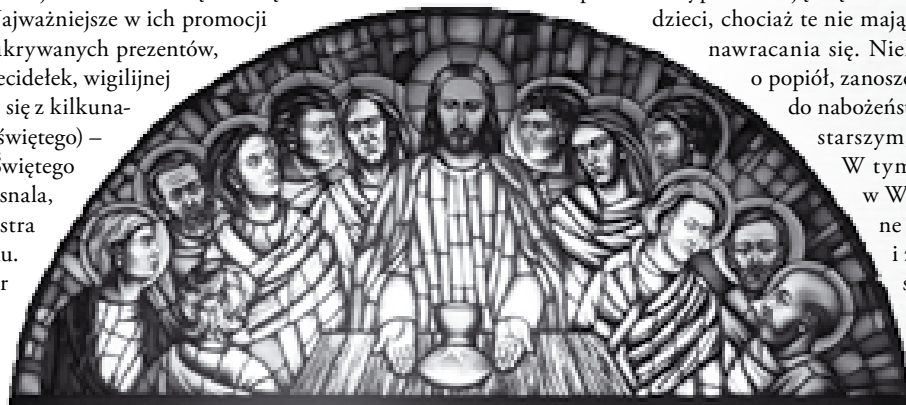
czas Postu – jest okazją do zerwania z nałogami, uzależnieniami, złymi przyzwyczajeniami i przyzwyczajeniami. Znam sporo takich osób, które zawsze – i to z dobrym skutkiem – robią takie abstynenckie postanowienia.

Zapusty

Popielec jest poprzedzony czasem karnawału, zabawy i słynnego w polskiej tradycji „Tłustego Czwartku” dawniej nazywanym „zapustami” (uprzedzającego 6 dni Środę Popielcową). Wraz z tradycją jedzenia pączków, faworków, chrustów i innych tłustych ciast i mięs popijano wino. Chętnie dodałbym tutaj, że bez reklamowanych tabletek na wątrobę czy dobre trawienie! Podobno ta forma ostatnich dni karnawałowych (przedpościa) ma przynosić ludziom szczęście.

Niedziele Wielkiego Postu

Poszczególne tygodnie Wielkiego Postu swoją wymową liturgiczną kierują wierzących w stronę nawracania się, a co zatem idzie – w stronę spowiedzi wielkanocnej nakazanej katolikom przez prawo (przykazania) kościelne. Pośród sześciu niedziel postnych – w sposób szczególny –



Ostatnia Wieczerza – witraż w drzwiach kościoła w Herbach

na uwagę zasługuje czwarta niedziela liturgiczna zwana „LAETARE” – niedziela radości – z różowym kolorem szat liturgicznych – bo już minęła połowa okresu postzczenia i wypełniania podjętych, czasami bardzo trudnych wyrzeczeń i postanowień. W następną, piątą niedzielę postną, dawniej nazywaną Niedzielą Pasyjną, wszystkie krzyże w kościołach, a często również w domach, są zasłaniane fioletowym płótnem – aż do zakończenia wieczornych ceremonii wielkopiątkowych. Kolejna szósta, ostatnia niedziela postna jest nazywana „Niedzielą Palmową”, albo „Niedzielą Męki Pańskiej” (z racji czytania na Mszach ewangelicznego opisu Męki Pana Jezusa). W polskiej tradycji, ze względu na robienie wtedy palm z gałązek pączkującej wierzby i różnych ozdobnych kwiatów i innych gałązek, tę niedzielę czasami nazywano również „wierzbną” albo „kwietną”. Następną niedzielą, to już Uroczystość Zmartwychwstania Pana Jezusa, powszechnie nazywana „Wielkanocą” – bo nie ma „większej nocy” nad tę, w którą na nowo powstał do życia ukrzyżowany Chrystus – „Z Martwych Powstał”! W tradycji ludowej spotkałem się z nazywaniem poszczególnych niedziel postnych po Popielcu: 1. Wstępna; 2. Sucha; 3. Głucha; 4. Środopostna; 5. Gajowa; 6. Palmowa (Wierzbna, Kwietna); i wreszcie 7. Wielkanocna.

Palmy

Palma święcona w niedzielę rozpoczynającą Wielki Tydzień i niesiona w uroczystej procesji (w niektórych rejonach są jeszcze procesje konne) symbolizuje Chrystusowe Zmartwychwstanie i nieśmiertelność duszy ludzkiej. Różne rejony, a nawet czasami poszczególne parafie, mają swoje tradycje robienia palm oraz ludowy ceremoniał z tym związany. Czasami są to wiązanki kilku (pięciu, siedmiu) gałązek pączkującej wierzby – najczęściej jeszcze bezlistnej. Gdzie indziej (Kurpie, Podhale, Małopolska) to długie, strojne, czasami wielometrowe, kolorowo dekorowane wiklinowe i palmowe bukiety z baziąmi, gałązkami, np. forsycji, niejednokrotnie i papierowymi kwiatami. Poświęcone bukiety palmowe przynosiło się do domu, ale do Wielkiego Piątku pozostawały w przedsionku. Gdzieniedzie była tradycja smagania po plecach dzieci gałązkami poświęconej palmy – dla zapewnienia dobrego zdrowia i hartu ducha. Bywało, że trzeba było zjeść kilka baż (zwanych też kockami lub kocikami wierzbowymi) z poświęconej palmy, co miało zapewnić zdrowie gardła. W Wielki Piątek robiono z poświęconych palowych gałązek małe krzyżyki przewiązane wstążeczką (jakby stulą na krzyżach w kościele) i te krzyżyki zanoszono w różne miejsca domostwa, gospodarstwa albo na cztery rogi swojego pola (trzeba to było robić pieszo albo na koniu).

Ogień

W noc rozpoczynającą Wielki Czwartek – dzień pamięci Ostatniej Wieczerzy i zdrady Judasza, a czasami dopiero w Wielki Piątek – całe wsie w Małopolsce, na Śląsku – głównie Cieszyńskim, przyjął się zwyczaj robienia kukły Judasza i późnym wieczorem lub nocą wieszanie na drzewie, zrzucanie go z wieży, podpalania albo utopienia (trochę przypomina zwyczaj topienia marzanny) za zdradę Jezusa. Są również znane tradycje palenia „szkrobaczek” maczanych w smole – tak jakby miotełki robione na wzór żołnierskich pochodni zapalonych nocą w czasie sądzenia Pana Jezusa u Kafjasza i Annasza. Jest również śląska tradycja wielkośrodkowych „żurów” – brudów (grzechu) – które czas spalić.

Woda

Obmywanie nóg dwunastu starcom na Liturgii w Wielki Czwartek to nie tylko tradycja w kościele. Podobne gesty czynili panowie na zam-

kach, pałacach i dworach. W Wielki Piątek, a czasami było to w niedzielny poranek – o wczesnej porze, mieszkańcy Śląska, od starców do dzieci, udawali się do pobliskich potoków, źródełek, sadzawek, aby umyć, a przynajmniej zamoczyć w nich swoje nogi. W powrotnej drodze do domu dzieci często szukały tzw. zajączków. Były to różnego rodzaju łakocie wcześniej ukrywane przez dorosłych na drodze w ozdobnych szczyptach siana. Wigilia Zmartwychwstania zawiera również element kropienia wodą święconą pokarmów, ale przede wszystkim wieczornego święcenia wody i kropienia nią wiernych na znak odnowienia przyrzeczeń chrztu świętego. Śmigus Dyngus jest wszystkim znaną tradycją – chociaż często nieelegancko nadużywaną przez różnych „żartownisiów”. W drugim dniu wielkanocnym, gdzieśgdzie strojono jajkowe wydumski kolorowymi bibułami i gałązką ze świerka – tzw. „goik”, który wnoszono tuż po wrzuceniu do rzeki popularnej „marzanny”. Jest to kolejny element tradycji związanych z wodą.

Rekolekcje i nabożeństwa wielkopostne

Nieodzownym elementem tradycji całego okresu wielkanocnego – w tym wymiarze ściśle religijnym – są organizowane we wszystkich kościołach rekolekcje wielkopostne. Do kościołów przyjeżdżają misjonarze i rekolekcjoniści duchowni, czasami również przy czynnym udziale osób świeckich. Jest więcej Mszy Świętych z tematycznymi naukami dla ogółu wiernych, ale także są tzw. nauki stanowe dla poszczególnych grup (małżeństwa, kobiety, mężczyźni, młodzież, dzieci, ludzie schorowani, starsi, samotni, żyjący w związkach niesakramentalnych, itd.). W tym czasie jest bardzo dużo czasu na wyspowiadanie się przed świętami, a mimo to w wielu kościołach można zauważyć długie kolejki do konfesjonałów. Z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia pamiętam rekolekcje szkolne, kiedy to w określone dni wielkopostne, gromadziłyśmy się w szkole podstawowej na ulicy Sądowej w Lublińcu, a potem zwartą grupą poszczególnych klas – w towarzystwie swych nauczycieli – służyłyśmy na rekolekcje do kościoła św. Mikołaja. Nie mogło w tradycji wielkopostnej zabraknąć nabożeństw Drogi Krzyżowej, odprowadzanych przede wszystkim w postne piątki na kalwariach, organizowane drogami i ulicami całych miejscowości, bądź przy stacjach w zaciszu poszczególnych kościołów. Charakterystyczną, wiekową, wyłącznie polską tradycją są nabożeństwa Gorzkich Żali, śpiewanych w świątyniach przez licznie gromadzących się wiernych w niedzielne popołudnia Wielkiego Postu. Bardzo często Gorzkie Żale są połączone z tematycznymi rozważaniami Męki Pańskiej, nazywane kazaniem pasyjnym.

Ciemnica i Boży Grób

W kościołach pojawiają się dwa miejsca charakterystyczne – szczególnie przygotowywane na dni Wielkiego Tygodnia. Jest to „Ciemnica” – miejsce, do którego przenosi się Najświętszy Sakrament po czwartkowej Mszy Wieczerzy Pańskiej. Tam pozostaje aż do zakończenia wieczornych ceremonii Wielkiego Piątku. Wtedy w monstrancji odkrytej welonem, Najświętszy Sakrament zostaje przeniesiony do przygotowanego i specjalnie strojonego kwiatami Bożego Grobu. W bardzo wielu parafiach nadal owej adoracji Najświętszego Sakramentu – czuwaniu wiernych przy Bożym Grobie – towarzyszą „warty” strażaków ubranych w swoje eleganckie mundury, często z błyszczącymi hełmami na głowie. Te warty, co godzinę uroczyste się zmieniają. W wielu parafiach tak bywa przez całą noc i kolejny dzień – dodając adoracji krzyża i Bożego Grobu szczególnego znaczenia i powagi. Adoracja wiernych przy Bożym Grobie kończy się wieczorną sobotnią liturgią z poświęceniem ognia, świecy paschalnej, wody chrzcielnej i tej do pokropienia wiernych w kościele, ale również wody zabieranej do wypicia i pokropienia swych domostw. W sobotniej liturgii jest odśpiewane uroczyste Orędzie Wielkanocne i Msza Wigilii Paschalnej



zakończona często bardzo późno, nocną procesją rezurekcyjną wokół kościoła. Wiele parafii zachowuje tradycję tej procesji uwielbienia Chrystusa Zmartwychwstałego we wczesnych godzinach porannych (przed świtem) Niedzieli Wielkanocnej. Warto również tutaj wspomnieć zachowaną tradycję zamknięcia wszystkich dzwonów i dzwonek od czwartkowej Wieczerzy Pańskiej do sobotniej Mszy i Rezurekcji. W zamian dzwonów wtedy odzywają się drewniane kołatki lub uderzające o siebie drewniane kije.

Święconka

Znany jest zwyczaj święcenia potraw wielkanocnych w Wielką Sobotę. Często i bardzo licznie całymi rodzinami – w różne określane godziny – przychodzą wierni do kościoła z wiosenną – często gałązkami bukszpanu – przystrojonymi wiklinowymi koszyczkami, w których powinny znaleźć się: chleb (pieczywo wielkanocne) wędliny, jednobarwne jaja gotowane, ale nie strojne pisanki. W koszyczkach można znaleźć również figurki Baranka Wielkanocnego zrobione z ciasta, masła, cukru. Do tego koszyczka wkłada się też olej, szynkę – wędzonkę, szczyptę soli, trochę chrzanu. Tradycją domów było dzielenie się pokrojonym poświęconym jajem na rodzinnym uroczystym śniadaniu wielkanocnym. Ta tradycja na Śląsku była zastępowana po prostu jedzeniem wędzonki z chrzanem, jaj z solą i chleba.



Pisanki, kraszanki, kroszonki

W różnych rejonach – czasami długo przed świętami – panny przygotowywały bardzo ozdobne gotowane, malowane, specjalnie koronkowo wybielane lub wyskrobywane jaja, którymi potem w drugie święto wielkanocne obdarowywały kawalerów przychodzących z śmigusem dyngusem. Również chrzestne obdarowywały takimi pisankami – kraszankami swoich chrześniaków. W niektórych rejonach ziemi gliwickiej do dziś zachowała się tradycja kolorowych, bardzo dostojnych procesji konnych w poniedziałek wielkanocny.

Stroje wielkanocne

W dawniejszych czasach inaczej zwracano uwagę na sposób ubierania się. Było ubranie robocze, codzienne, niedzielne (w niektórych rejonach nazywane „kościółkowym”). Bardzo wiele uwagi w tradycji wielkanocnej zwracano uwagę na strój. Często mówiono, że to „strój świąteczny” (od „strojenia się”). Owe „stroje” (dzisiaj często mówimy o „strojach ludowych”) w domach były pieczołowicie przechowywane tylko na czas wielkanocny, odpustowy, świąteczny. Bywało że takie kobiece stroje (a może męskie również) były przekazywane z pokolenia na pokolenie i miały wartość nie tylko pamiątkową, sentymentalną i folklorystyczną!

Przeżywanie Świąt

Zwyczajem wielu pokoleń jest to, że pierwszy dzień świąt spędza się w zaciszu domowym, w gronie najbliższej rodziny. Nikogo w tym dniu nie powinno się odwiedzać. Zmartwychwstanie przeżywane w kręgu najbliższych – własnej rodziny – ma ją łączyć, odbudowywać pogmatwane więzy, naprawiać to, co gdzieś po drodze życia zostało grzechem popsute. Drugi dzień świąt jest przeznaczony na odwiedziny. Kiedyś mówiono, że ten dzień jest najradośniejszy w roku, ale również najmokrzejszy. Nie chodzi jednak o to, aby jak to się niestety zdarza, lać bez umiaru. „Mokry” lub „lany poniedziałek” jest nazywany „Śmigusem Dyngusem” Wzięło się to stąd, że kawalerowie przygotowywali specjalne śmigusówki – jakoś drążone wierzbowe gałązki, w których było trochę wody. Odwiedzając domy panien – często wcześniej rano – uderzano się nimi na szczęście – „smagano” lub „śmigano się” nimi. Tym samym było to połączenie z pokropieniem wodą. W zamian za to „śmiganie” panny obdarowywały ich pisankami (kraszankami). W drugie święto wielkanocne często w godzinach popołudniowych odbywały się już wesela i zabawy taneczne.

Na blogu „w starej kuchni” przeczytałem: „Świętujmy zatem! Bez względu na to, czy czas ten ma dla nas wymiar religijny czy nie. Święta bowiem mogą stać się łącznikiem między tym, co teraz, a tym co dawniej. Przez pamięć o prababce, która całą noc ciasta dla czeladzi piekła, o „prakuzynie”, który upijał się radując się zmartwychwstaniem. Świętujmy i podtrzymujmy tradycję!” I to chyba na tyle – oczywiście z życzeniami, aby tym, którzy wierzą – Chrystus prawdziwie Zmartwychwstał, a wszystkim pomyślnego „dziś”, nadziei na lepsze „jutro”, no i aby dawne zwyczaje, tradycje i obrzędy, w których uczestniczymy, pobudziły każdego do takiej refleksji i działania, aby następne pokolenia dobrze i z dumą nas wspominały.

~ Edward Przebieracz ~

Wiersze wielkanocne

Prośba

nie pozwól
by Twe rany
stały się Judaszem
przez który patrzę na ludzi czytam z ich twarzy
a nie z serc
lecz spraw
by furtką były
przez którą mogę przejść
tam
gdzie człowiek człowiekowi
niebem



Tomasz

nie rozumiałem
co znaczą słowa
„Ja jestem drogą”
dopiero wtedy
kiedy do jego ran
włożyłem palec
zrozumiałem
że prowadzi tędy

~

my – w grobach śpiący
królowie stworzenia
czekamy na Ciebie
abyś przyszedł
i jednym słowem
jak pocałunkiem
zbudził



Droga do Emaus

każdy dzień
jest drogą do Emaus
idziemy
zajęci rozmową
a obok nas
Chrystus
pod postacią bliźniego

z tomiku „Prawdziwa sława”, Katowice 1995



Bohaterowie naszych ulic

Już od wielu wieków – chyba od średniowiecza – w niektórych krajach poczęto ulicom nadawać „imiona”. Powodowane to było głównie względami „adresowymi”, by wiadomo było, że na „takiej ulicy”, pod „takim numerem” mieszka „taki, a nie inny człowiek”, lub znajduje się „taki urząd”.

W średniowieczu wielkie miasta posiadały w większości mnóstwo małych i wąskich uliczek, które nie były jeszcze nazwane, tak jak to dzisiaj bywa. Na każdej prawie uliczce znajdował się jakiś „punkt orientacyjny”. Mieszkali tam np. rzemieślnicy o określonych fachach – szewcy, młynarze, kowale. Mógł się tam także znajdować dom jakiegoś dostojnika miejskiego, duchownego, człowieka, albo większej grupy ludzi o innej narodowości itp. Mógł tam także być kościół, ratusz, zamek, staw, jakieś stare lipy, czy dęby, lub jakiś inny znak charakterystyczny tylko dla danej okolicy, albo ulicy. Dziś jeszcze w wielkich miastach można spotkać ulicę Szewską, Młyńską, Stawową, Dębową, Zamkową, Franciszkańską, Klasztorną itp.,

choć tych obiektów, tych fachów i tych zakładów już dawno tam nie ma. Wielki skok cywilizacyjny – także w nazewnictwie ulic – zawdzięczamy „wynalezieniu” poczty, która nie tylko przewoziła ludzi, ale także listy i pocztówki, zwane też kartami pocztowymi.

Dzisiaj, podobnie jak setki już lat temu, nie tylko wielkie aglomeracje miejskie, ale coraz częściej także wioski, mające kilkanaście (a czasem tylko kilka) ulic albo uliczek nadają im nazwy, a domom numerację, aby było lepiej trafić pod wskazany adres. Dzisiaj mamy już wyspecjalizowaną dziedzinę nauki toponomastykę, która

wyodrębnia toponim zajmujący się badaniem nazw miejscowych, w tym także ulic i ich historię. Ulice noszą różne nazwy i różne imiona (raczej nazwiska). Z tego tytułu można przykładowo nazwy ulic podzielić na: – ulice noszące nazwy przyrodnicze – flory i fauny – ulice noszące nazwy geograficzne – wskazujące dokąd prowadzi ulica – ulice noszące nazwy dotyczące tematyki wojennej lub wyzwoleniczej – ulice noszące nazwy wybitnych ludzi, zasłużonych dla świata, ojczyzny, regionu, miejscowości – ulice noszące nazwy neutralne, nie związane z w/w podziałem.

Nazwy ulicom nadają samorządy terytorialne, biorąc pod uwagę np. wnioski mieszkańców, często propozycje samych radnych, także warunki polityczne, tradycje, uwarunkowania historyczne itp. Chyba najczęściej zmieniano nazewnictwo ulic na Śląsku, głównie ze względów politycznych. Najwcześniej ulice nosiły nazwy niemieckie, albo raczej pruskie dotyczące niemieckiej i pruskiej historii i pruskich bohaterów. Później w okresie międzywojennym – w tej części Śląska, którą przydzieleno Pol-

sce – wszystko poszło „na odwrtkę”, ulice nosiły nazwy sławiące polską, albo propolską historię i polskich, albo propolskich bohaterów. W czasie wojny – kiedy G. Śląsk „przydzielono III rzeszy, znowu zmieniano nazwy ulic na niemieckie, często związane z III rzeszą i jej „bohaterami”. Po 1945 śląskie ulice otrzymywały znowu nazwy związane z polską historią i polskimi bohaterami, jednak związanymi z nową, socjalistyczną rzeczywistością. Po zmianach politycznych w 1989 roku nastąpiło „oczyszczanie” nazw ulic na bardziej demokratyczne. Na tablice wrócili bohaterzy i wątki historyczne II Rzeczypospolitej, a wyrzucono na śmietnik historii prawie wszystko to, co związane było PRL-em i z ZSRR-em oraz z „przewodnością narodu” – PZPR-em.

Dzisiaj ważnym elementem nazewnictwa ulic powinna być obiektywność historyczna i mądrość ludzi, którzy zajmują się nazewnictwem ulic, głównie chyba Radnych, aby nazwy ulic były zgodne z historią i tradycją miejscowości lub regionu i nie nosiły nazw przypadkowych bohaterów, aby nie przynosiły wstydu miejscowości, a przeciwnie, aby dodawały miejscowościom splendoru i kolorytu.

To niekoniecznie miał być artykuł o historii nazewnictwa ulic. Miał raczej dotyczyć jednego bohatera koszęcińskiej ulicy – Ks. Konstantego Damrota i ciekawej propozycji informującej o osobie pa-

tronującej danej ulicy. To, co powyżej napisano jest jakby „przy okazji”. Wielu mieszkańców różnych miejscowości – w tym i Koszęcina – nie zna bohaterów swoich ulic. Często stawiane są – czasem kontrowersyjne pytania – pytania: „Kto to jest Damrot?” (na tablicy figuruje bowiem tylko nazwisko) Kto to jest Konrad Mańka?”. Dlaczego w pewnej dzielnicy Koszęcina wiele ulic nosi nazwy kwiatów, kiedy na tych piaskach nigdy takie rośliny nie rosły? Pytanie o Ks. Damrota zadali mi poważni obywatele, mieszkańcy ulicy Damrota, twierdząc, „że skoro my nie znamy Jego biografii, to na pewno inni też nie znają, i zrodził się pomysł, który się już realizuje. Przy ulicy umieszczona będzie mała tablica informacyjna o Ks. Konstantym Damrocie. Może to recepta, na przybliżenie ludziom bohaterów naszych ulic. Jest jeszcze inna propozycja: wydanie przez „Stowarzyszenie” albo przez Gminę lub Urząd Miasta broszurki zatytułowanej np. „Patroni ulic Koszęcina”, albo „Nazwy i bohaterowie ulic Lublińca”. Byłby to niebanalny dokument geograficzny i historyczny danej miejscowości.

Ksiądz Konstanty Damrot

Wielki i jeden z najwybitniejszych postaci Ziemi Śląskiej urodził się 14 września 1841 roku w Lublińcu. Pierwszą posługę wykonał w Kościele i w parafii kościelnej. Jego trzyciotygodniowa praca w parafii w Lublińcu była pod kierownictwem Czesława Lublińskiego. Po objęciu urzędu w parafii w Lublińcu został on następcą w Górnym i Opolu i Włodzisławiu. Studia filozoficzne i teologiczne odbył na Uniwersytecie wrocławskim w latach 1862 - 1867, później przejął parafię w Lublińcu. W latach 1868 - 1870 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1870 - 1872 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1872 - 1874 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1874 - 1876 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1876 - 1878 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1878 - 1880 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1880 - 1882 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1882 - 1884 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1884 - 1886 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1886 - 1888 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1888 - 1890 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1890 - 1892 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1892 - 1894 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1894 - 1896 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1896 - 1898 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1898 - 1900 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1900 - 1902 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1902 - 1904 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1904 - 1906 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1906 - 1908 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1908 - 1910 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1910 - 1912 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1912 - 1914 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1914 - 1916 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1916 - 1918 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1918 - 1920 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1920 - 1922 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1922 - 1924 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1924 - 1926 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1926 - 1928 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1928 - 1930 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1930 - 1932 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1932 - 1934 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1934 - 1936 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1936 - 1938 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1938 - 1940 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1940 - 1942 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1942 - 1944 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1944 - 1946 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1946 - 1948 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1948 - 1950 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1950 - 1952 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1952 - 1954 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1954 - 1956 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1956 - 1958 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1958 - 1960 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1960 - 1962 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1962 - 1964 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1964 - 1966 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1966 - 1968 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1968 - 1970 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1970 - 1972 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1972 - 1974 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1974 - 1976 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1976 - 1978 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1978 - 1980 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1980 - 1982 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1982 - 1984 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1984 - 1986 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1986 - 1988 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1988 - 1990 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1990 - 1992 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1992 - 1994 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1994 - 1996 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1996 - 1998 przejął parafię w Lublińcu. W latach 1998 - 2000 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2000 - 2002 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2002 - 2004 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2004 - 2006 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2006 - 2008 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2008 - 2010 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2010 - 2012 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2012 - 2014 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2014 - 2016 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2016 - 2018 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2018 - 2020 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2020 - 2022 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2022 - 2024 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2024 - 2026 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2026 - 2028 przejął parafię w Lublińcu. W latach 2028 - 2030 przejął parafię w Lublińcu.



Ks. Konstanty Damrot
1841-1895

Opracował: Jan Myrcik, na ilustracje: J. Białecki, B. Banaś

Parafia wojskowa w Lublińcu w latach 1922-1939

Literatura historyczna dotycząca dziejów Kościoła rozróżnia pojęcia duszpasterstwo zwyczajne i duszpasterstwo specjalne. To drugie dotyczy grup społecznych i zawodowych, których sytuacja jest szczególna ze względu na wykonywaną profesję, narodowość, kulturę lub schorzenie. Do takiej grupy specjalnej z pewnością należy wojsko stanowiące zawsze dużą populację. Spróbujmy przedstawić poniżej historię lublinieckiej parafii wojskowej.

Na początek jest jednak potrzebne krótkie wyjaśnienie dla Czytelnika. Z chwilą wybuchu II wojny światowej wszystkie (ufam, że kiedyś ktoś to twierdzenie obali) dokumenty parafii wojskowej zostały zniszczone. Zatem dziś historyk jest skazany na źródła znajdujące się np. w parafii św. Mikołaja w Lublińcu i Archiwum Archidiecezjalnym w Katowicach. Tę drugą grupę źródeł piszący te słowa przestudiował. Niemniej, aby ukazać obraz parafii i jednostki w jej wymiarze religijnym i wychowawczym trzeba posługiwać się źródłami niedrukowanymi i drukowanymi z Dwudziestolecia międzywojennego oraz opracowaniami historyków Kościoła i wojskowości.

Najliczniejszą grupę wiernych, którą objęto specjalną opieką duszpasterską w Lublińcu, byli żołnierze. Po wkroczeniu 26 czerwca 1922 roku do Lublińca 74 pp i przejęciu tutejszego garnizonu wraz z koszarami posługa względem żołnierzy była już zorganizowana. Kapelanem pułku był ks. Jan Szymała pełniący swe obowiązki od 5 sierpnia 1921 roku. O ile żołnierze garnizonu lublinieckiego mieli zapewnioną opiekę duchową, o tyle uregulowania prawne, zarówno w Administracji Apostolskiej dla Śląska Górnego jak i w całym kraju, czekały na swoje doprecyzowanie. Wprawdzie kuria połowa wraz z bp. Stanisławem Gallem istniała od 9 lutego 1919 roku, a Konferencja Episkopatu Polski dwukrotnie dyskutowała (w 1919 i 1920 roku) na ten temat precyzując niektóre sprawy, to i tak w drugiej połowie 1922 roku duszpasterstwo wojskowe napotykało na różne trudności. Ostateczne uregulowanie kwestii tego duszpasterstwa nastąpiło w latach 1925 – 1926. Podstawą był zawarty Konkordat między Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską 10 lutego 1925 roku, którego artykuł VII dotyczył tego zagadnienia. Aktem prawnym będącym realizacją postanowień umowy był Statut Duszpasterstwa Wojskowego zatwierdzony przez Stolicę Apostolską 26 lutego 1926. Statut wyjaśniał sprawę jurysdykcji proboszczowskiej kapelanów wojskowych. Powołano 75 parafii z patronem i kapelanem z uprawnieniami proboszcza, których zasięg terytorialny przebiegał na podstawie rozlokowania jednostek, czyli nie uwzględniał granic diecezji. Uprawnienia kapelanów wojskowych miały charakter personalny, tzn. dotyczyły osób związanych z wojskiem (mundurowi i ich rodziny, rekruci, uczniowie szkół wojskowych, pracownicy cywilni i inni związani z armią) wymienionych w artykule IX statutu. Na uwagę zasługuje jeszcze sprawa świątyni dla parafii wojskowych będąca niewątpliwym problemem dla Kurii Polowej. Ustalono zatem w artykule XV, że „[...] w razie braku kościoła wojskowego kapelan będzie mógł korzystać z innego kościoła wyznaczonego przez biskupa polowego po uzyskaniu uprzednio zgody miejscowego ordynariusza”.

Mając naszkicowane niektóre problemy duszpasterstwa wojskowego w dwudziestolecium międzywojennym należy powrócić do 1922 roku. Po przybyciu do Lublińca oraz inkardynacji ks. J. Szymały ze Zgromadzenia Słowa Bożego (werbiści) do Administracji Apostolskiej dla Górnego Śląska był on uznawany przez władze tej jednostki kościelnej za wikarego parafii św. Mikołaja. Faktycznie jednak, w relacjach z proboszczem ks. Józefem

Dwucetem, był traktowany jako kapelan wojskowy, który w imieniu lublinieckiego pułku załatwiał wszelkie sprawy na linii wojsko – parafia. Przykładem jest pismo ks. Dwuceta do Administracji Apostolskiej w Katowicach z 17 lutego 1923 roku, w którym informuje: „1. Nabożeństwa składają się ze Mszy św. i 12 minut kazania; 2. Nabożeństwo rozpoczyna się o godzinie 9.45 i trwa do 10.25; 3. Do tej pory nie było żadnych niedogodności – nabożeństwa odprawia kapelan wojskowy [podkreślenie K. K.]”. W tamtym czasie wojskowi korzystali z kościoła parafialnego, a z uwagi na przepisy liturgiczne godzina sprawowania Eucharystii była sprawą bardzo istotną.

Brak „niedogodności”, a nawet zacieśnianie współpracy i chęć uregulowania wszystkich spraw duszpasterskich obrazuje umowa zawarta 15 sierp-

.....
1 maja 1926 roku utworzona została parafia wojskowa w garnizonie Lubliniec, której patronem był św. Michał Archanioł na podstawie dekretu z 22 kwietnia t. r. podpisanego przez biskupa polowego Wojska Polskiego.
.....

nia 1924 roku między Komendą Garnizonu Lubliniec a Zarządem Kościoła Parafialnego w Lublińcu w sprawie usług organistowskich. Dokument ten dotyczy przede wszystkim organisty delegowanego przez pułk, ale dowiadujemy się z niego także, że jednym z ołtarzy w kościele parafialnym opiekował się garnizon lubliniecki na co miało być przeznaczone 30% wynagrodzenia organistowskiego, natomiast korzystanie ze świątyni w niedziele i święta było dla wojska bezpłatne. Prawdopodobnie już w następnym roku Msze św. dla wojska były odprawiane w kościele filialnym Podwyższenia Krzyża Świętego. Nie była to jednak stała praktyka, bowiem źródło mówi o nabożeństwie wojskowym o 9.50 w niedziele i święta w jednej lub drugiej świątyni.

Ostatecznie sprawa znalazła swoje rozwiązanie po podpisaniu konkordatu i Statutu Duszpasterstwa Wojskowego. 1 maja 1926 roku utworzona została parafia wojskowa w garnizonie Lubliniec, której patronem był św. Michał Archanioł na podstawie dekretu z 22 kwietnia t. r. podpisanego przez biskupa polowego Wojska Polskiego. Wchodziła ona w skład Okręgu Korpusu nr 5 (dekanat) z siedzibą w Krakowie i obejmowała swym zasięgiem powiat lubliniecki i tarnogórski. Trzeba nadmienić, iż wszystkie parafie wojskowe z terenu diecezji katowickiej należały do dekanatu krakowskiego.

Erekcja parafii oraz określenie jej terytorium i wiernych nie dopełniało całości przedsięwzięcia, któremu brakowało świątyni. W myśl Statutu po porozumieniu między ordynariuszem katowickim i polowym wskazywano kościół diecezjalny mający służyć wojsku. Wyznaczenie kościoła Święte-

go Krzyża była zapewne uzgodniona między zainteresowanymi biskupami jednak sprecyzowanie całości umowy należało do proboszczów. Protokół wizytacyjny, na który powołano się już wyżej, mówił o korzystaniu czasami z tej świątyni przez żołnierzy 74 pp. Potwierdza ten fakt notatka ks. J. Dwuceta z 31 maja 1927 roku wskazując na brak miejsca w świątyni parafialnej dla obu parafii i wydzierżawieniu kościoła Świętego Krzyża wojsku. Ostatecznie umowa została zawarta 15 września 1927 roku ustalając roczny koszt dzierżawy na poziomie 1000 zł i jednocześnie rezygnacji z opłaty do końca 1927 roku. Kuria biskupia w Katowicach zatwierdziła umowę 14 grudnia 1927 roku.

Pozostając jeszcze przy zagadnieniu dzierżawy i ustaleń trwających ponad dwa lata (sierpień 1925 – wrzesień 1927) warto przedstawić notatkę proboszcza wojskowego będącą niejako kartą przetargową w rozmowach. Rękopis miał następującą treść:

„1. Kościół zostanie zawsze własnością parafii cywilnej św. Mikołaja

2. Parafia cywilna oddaje kościół Św. Krzyża do dyspozycji Wojska Polskiego jak długo Wojsko Polskie w Lublińcu jest i to tylko w celach katolickich

3. Parafia wojskowa zobowiązuje się kościół Św. Krzyża utrzymywać w dobrym stanie, usuwać wszelkie szkody spowodowane użytkowaniem i czasem

4. Za szkody spowodowane katastrofami nie odpowiada

5. Nabożeństwa przez parafię cywilną tradycyjnie w kościele Św. Krzyża obchodzone – jak święto Św. Krzyża itd. będą w nim nadal miały miejsce”

Dalej ks. Szymała stwierdza, że parafia wojskowa poniosła już koszty ok. 3200 zł na remont dachu i wieży świątyni oraz nosi się z zamiarem rozbudowy lub przynajmniej otynkowania kościoła.

Posługa kapelanów wojskowych w okresie międzywojennym była wieloaspektowa, a jej zakres wychodził daleko poza zwyczajne duszpasterstwo. Do ich zadań należała praca formacyjna w zakresie wychowania moralnego jak i patriotycznego. W wielu przypadkach uczyli rekrutów pisania i czytania.

Regulamin duchowieństwa wojskowego z 24 listopada 1919 roku stwierdzał, że kapelani wojskowi zobowiązani są do bezpłatnego świadczenia posług wojskowym i ich rodzinom. Były to Msze św., głoszenie Słowa Bożego i udzielanie sakramentów. Kapelan powinien mieć w tym względzie pomoc ze strony dowódcy jednostki, który miał dołożyć wszelkich starań, aby żołnierze mogli spełniać swoje obowiązki religijne. W Lublińcu niedzielna i świąteczna Msza św. dla wojska była od samego początku wyraźnie rozgraniczona. Jak stwierdzono wyżej, w pierwszym okresie sprawowano ją w kościele parafialnym, by z czasem przejść do świątyni filialnej. Godzina niedzielnej Eucharystii, po utworzeniu parafii i objęciu kościoła Świętego Krzyża, ustalona została na 10.30. Było to każdorazowo wydarzenie, bowiem wszyscy katolicy pułku kompaniami szli do kościoła garnizonowego, a po nabożeństwie odbywała się defilada, którą odbierało dowództwo 74 pp, a wszystko to w towarzystwie orkiestry pułkowej.

Zniszczenie kancelarii parafii wojskowej w Lublińcu nie pozwala odwrócić innych posług duszpasterskich. W tym względzie należy bazować na syntezach ogólnych i wspomnieniach. Można zatem ze stuprocentową pewnością stwierdzić, iż ks. J. Szymała wywiązywał się z podstawowej misji względem swoich parafian. Dbając o należyte przygotowanie do świątecznej spowiedzi i Komunii św. zorganizował w 1933 roku Rekolekcje Wielkopostne dla rodzin wojskowych, do których wygłoszenia zaprosił superiora lublinieckiego oblatów o. Józefa Cebulę. Stałym elementem w porządku dnia żołnierzy skoszarowanych w jednostkach była poranna i wieczorna modlitwa. Praktyka ta była uregulowana Rozkazem Wewnętrznym z 1921 roku i trwała do wybuchu II wojny światowej. Modlitwa poranna odmawiana chóralnie składała się ze znaku Krzyża św., „Ojciec nasz”, „Zdrowaś Maryjo”, „Wierzę w Boga” i pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”, zaś wieczorny pacierz ze znaku Krzyża św., „Anioł Pański”, „Wieczny odpoczynek” oraz pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Szczególną intencją modlitw na zakończenie dnia było wspomnienie wszystkich poległych i zmarłych za Ojczyznę. Prawem dodatkowym, przysługującym kapelanom, było odbieranie przysięgi wojskowej od rekrutów, po około dwumiesięcznym przeszkoleniu wstępnym. Dzień zaprzysiężenia był bardzo uroczysty. Sprawowano Mszę św., a po jej zakończeniu kapelan odbierał przysięgę, której rota była nacechowana treściami religijnymi.

Omówione czynności duszpasterskie oraz wspomniane prowadzenie kancelarii musiało pochłaniać wiele czasu i sił kapelanów. Mimo to byli oni zobligowani do pracy pozaduszpasterskiej. Powodem, dla którego po-

wierzono kapelanom wojskowym wychowanie żołnierzy, był brak oficerów wychowawczych. W 1921 roku w całym wojsku polskim stan ich określano na około sześciuset, co było o wiele za mało w stosunku do potrzeb. Poza tym uznano, że czynnikiem spajającym młode, odrodzone państwo jest religia i powszechny szacunek wobec duchownych. Czynniki rządowe i wojskowe zdawały sobie sprawę ze słabości ekonomicznej i politycznej Polski stąd model wojska miał przede wszystkim opierać się na wysokich standardach etycznych i patriotycznych. Aby związać rekrutów z odrodzoną Ojczyzną i jej armią zastosowano eksterytorialny rozdzielnik poborowych z dodatkową systematyczną akcją oświatowo – wychowawczą. Szczególną formą pracy uświadamiającej żołnierzy były pogadanki. Według założeń dydaktycznych miały one wpoić poczucie obowiązku, ukształtować prawidłowy światopogląd katolicki, pobudzać do pracy nad sobą i kształtować prawe sumienie. Tematy pogadarek oscyływały wokół następujących kategorii: historycznej, moralnej, liturgicznej, społecznej i apologetycznej. Były wygłaszane co miesiąc, ale obok nich odbywały się też pogadanki okolicznościowe związane z rocznicami historycznymi, świętami państwowymi czy wydarzeniami typu przysięga lub odejście do cywila. Pomocą dla duszpasterzy w opracowaniu konspektów służyła wydawana przez kurię połową „Biblioteczka Pogadankowa”. Tym samym biskup połowy miał pewność, potwierdzaną dodatkowymi raportami dziekanów, że w całym wojsku treści przekazywane żołnierzom były podobne. Ponieważ ks. Szymała był proboszczem również dla garnizonu w Tarnowskich Górach spoczywał na nim obowiązek przeprowadzania pogadarek w obu podległych mu garnizonach. Podobno lubliniecki kapelan nie należał do najlepszych retorów, ale zjednywał sobie żołnierzy dzięki stosunkom międzyludzkim i zrozumieniu.

Czynnikiem spajającym typowe funkcje duszpasterskie kapelanów z aspektem wychowawczym i oświatowym były uroczystości z udziałem wojska. W przypadku parafii lublinieckiej, jak wykazują źródła, każde święto kościelne czy państwowe oraz inicjatywy na gruncie lokalnym nie mogły się odbyć bez żołnierzy 74 Gpp. Uroczysta Msza św. (zwłaszcza połowa), okolicznościowe kazanie, defilada, orkiestra wojskowa i podziw mieszkańców w połączeniu z wiedzą wyniesioną z pogadarek miały z pewnością wpływ na świadomość żołnierzy, dając im poczucie więzi z młodym państwem, wszystkimi jego dzielnicami i historią.

II Rzeczpospolita była państwem wielowyznaniowym, gdzie wszyscy cieszyli się pełnią praw w praktykowaniu swojej religii. Zasadę tę przeniesiono także na grunt wojskowy. W niniejszym artykule zajmijmy się żołnierzami obrządku grekokatolickiego. Rozkaz Ministerstwa Spraw Wojskowych z 1924 roku podkreślał, że unicy są takimi samymi katolikami jak łacinnicy, a w sprawie praktyk i opieki duszpasterskiej stwierdzał: „[...] W razie nieobecności kapelana obrządku grekokatolickiego lub cerkwi katolickiej obrządku grekokatolickiego, obsługa duszpasterska należy im się ze strony kapelana obrządku rzymskokatolickiego, a na nabożeństwach winni uczęszczać do kościołów katolickich obrządku rzymskiego”. Taka praktyka wywiązała się na terenie wojskowej parafii lublinieckiej. Jak stwierdza bardzo ogólnie J. Pelc – Piastowski, przed każdą Wielkanocą przyjeżdżał do Lublińca duchowny unicki w celu wyspowiadania i odprawienia Mszy św. w rycie wschodnim. Wiemy z pewnością, że przed Świętami Bożego Narodzenia 1927 roku przyjechał do miasta ks. mjr Kusus, stąd dowództwo wystosowało prośbę o możliwości odprawienia Mszy św. dla rzymskich katolików w kościele parafialnym, gdyż w świątyni garnizonowej miało się odbyć nabożeństwo unickie. O podobnej sytuacji donoszą źródła z końca lat trzydziestych, gdzie przed Wielkanocą 1938 i 1939 roku ks. Antoni Hodys posługiwał wśród żołnierzy unitów 74 Gpp.

Na barkach kapelanów wojskowych leżał również obowiązek popularyzacji armii i jej etosu wśród społeczeństwa. Duchowni ci byli odpowiedzialni za sprawy organizacyjne podczas uroczystości ale także angażowali się w pracę z młodzieżą zarówno tą zrzeszoną w organizacjach paramilitarnych i harcerstwie jak i niezrzeszonej. Swoista demonstracja siły, jedność, porządek i elegancja, którą prezentuje wojsko zawsze jest czynnikiem imponującym ludziom młodym. Zapewne nie było przypadkiem wynikającym z braku miejsca w kościele parafialnym, że niedzielne Eucharystie dla lublinieckiej młodzieży sprawowane były w kościele garnizonowym.

Artykuł stanowi fragment pracy magisterskiej autora pt. Historia parafii św. Mikołaja w Lublińcu w latach 1922 – 1939, Katowice 2010, mps. w posiadaniu autora.

~ M. Koza ~

Pół wieku pod skrzydłami służby zdrowia

Po wojnie PRL-owskie władze zmagaly się z problemem zagospodarowania dużych obiektów jakimi były opuszczone lub znacjonalizowane dwory i pałace, często w rozległych parkach.

Nie inaczej było i w Kochcicach, gdzie w 16-hektarowym parku znajdował się trzykondygnacyjny, zbudowany w 1909 roku pałac Ballestrema (tzw. nowy zamek) oraz dworek Auloków z 1842 roku („stary zamek”).

W latach 1945–52 stworzono tu ośrodek kolonijny, jednak biorąc pod uwagę że wakacje nie trwają cały rok przez kolejne 10 lat obiekt służył potrzebom szkolenia kadr rolniczych CRS-u.

W roku 1962 następuje przejęcie przez Służbę Zdrowia i po rocznej adaptacji w dniu 20 marca 1963 r. do kochcickiej księgi chorych zostają wpisani pierwsi kuracjusze.

Pierwotnie sanatorium funkcjonuje jako Wojewódzki Szpital Rehabilitacyjny, gdzie oprócz do dziś wykonywanych świadczeń zdrowotnych w karcie zabiegowej figurują takie zajęcia jak kajakowanie, spacery do lasu, siatkówka, ping-pong czy kręgle.

Zlecane są kuracje pitne z użyciem kilkunastu rodzajów wód mineralnych. Każdy chory otrzymuje butelkę soku owocowego Rosavit celem uzu-

pełnienia niedoborów witaminowych. Kuracjom przysługuje również dziennie 0,25 litra kefiru, który znakomicie usuwa zaburzenia trawienne uwalniając przy tym od zbędnego zażywania leków. Stosuje się 7 rodzajów diet w tym ubogokaloryczną dla chorych z nadwagą, która pozwala w czasie turnusu schudnąć do 9 kg!

Stosowano też, wciąż aktualną, lecz rzadko już realizowaną dewizę, że najlepszym lekiem jest godzinny spacer, który chroni przed niepotrzebną lekomania.

Swoich pacjentów kierują kliniki chorób wewnętrznych z Katowic i Zabrze, a dodatkowo zabrzańska neurologia na każdy turnus deleguje lekarza.

Pierwszym dyrektorem ośrodka był dr Henryk Horzelski, który zadbał o urozmaicony wygląd parku. Wyasfaltowano alejki żwirowe, usypano kopce wysadzone głazami, na stawach powstało molo z przystanią dla kajaków i rowerów wodnych, pojawiło się boisko do siatkówki i ścieżka zdrowia.





Park pod opieką Instytutu Dendrologii w Kórniku zostaje zinwentaryzowany, uzupełniono zabytkowy drzewostan, na rabatach zakwita 4000 róż.

Pod nową nazwą Wojewódzkiego Ośrodka Rehabilitacyjnego dla schorzeń internistycznych i neurologicznych leczy się tu pacjentów w zakresie chorób układu krążenia, nerwowego, kostno-mięśniowego oraz po urazach. W najlepszych czasach na 24 dniowych turnusach można przyjąć jednorazowo 147 kuracjuszy.

*Stosowano też, wciąż aktualną,
lecz rzadko już realizowaną
dewizę, że najlepszym lekiem jest
godzinny spacer, który chroni
przed niepotrzebną lekomania.*

Pierwsze lata działalności to nie tylko pasmo sukcesów. Barbarzyństwo architektoniczne- tak tylko można nazwać przeprowadzoną w latach 60-tych adaptację ponad 120-letniego dworku Aulocków. Na potrzeby mieszkań pracowniczych zlikwidowano dwuspadowy dach i dobudowano piętra. Parter przeznaczono na przedszkole, gabinet dentystyczny oraz biura administracji. Było to pierwsze większe zlecenie dla nowopowstałego przy lublinieckim szpitalu psychiatrycznym zakładu remontowo-budowlanego. Przybyli tu po latach w sentymentalnej podróży do krainy dzieciństwa dawni mieszkańcy „starego zamku” ze zgrozą pytali jak to katastrofa dotknęła ich dom rodzinny? Cóż, takie były czasy-podobny los spotkał przecież niejedno miejsce. Spójrzmy choćby na budynek lublinieckiego dworca kolejowego.

Innym znakiem tamtych czasów była wszechobecna gigantomania:

na terenie parku zaplanowano wybudowanie nowoczesnego bloku na 170 łóżek połączonego jednym skrzydłem z pałacem, a drugim z nowoczesnym zakładem przyrodolecznym. Olbrzymi kompleks miał przyjmować jednorazowo 300 kuracjuszy! Na przeszkodzie stanęła zmiana podziału administracyjnego kraju kiedy to Kochcice znalazły się poza zasięgiem przygotowujących plan rozbudowy katowickich władz wojewódzkich.

W roku 1979 po tragicznej śmierci dr Horzelskiego dyrektorem zostaje dr Jacek Matuszczyk, który kieruje ośrodkiem aż do zakończenia jego samodzielnej działalności w 2005 roku, kiedy to dochodzi do fuzji z piekarską urazówką (1 marca placówka zostaje włączona w struktury Wojewódzkiego Szpitala Chirurgii Urazowej im. dra Janusza Daaba w Piekarach Śląskich, gdzie funkcjonuje jako XI i XII Oddział Rehabilitacji, Balneologii i Medycyny Fizykanej).

Ciekawym wydarzeniem było pojawienie się w 1980 roku ekipy filmowej Janusza Kidawy kręcącej film fabularny „Grzeszny żywot Francka Buły”. W scenie, kiedy to tytułowy bohater przez płot przedostaje się z brudnego, śląskiego podwórka do wspaniałego, kwitnącego parku i bawi się z córką właściciela, można rozpoznać kochcickie plenery.

W połowie lat 80-tych przez ponad rok nie przyjmowano pacjentów. Przeprowadzono wtedy gruntowny remont, połączony z malowaniem elewacji. Po zmianach ustrojowych do sanatorium mogła wrócić kaplica, najpierw do tymczasowych pomieszczeń na drugim piętrze, a po likwidacji kina do dzielonego dziś wspólnie z salą gimnastyczną swego dawnego miejsca z czasów hrabiego Ballestrema.

Placówka zatrudnia obecnie około 100 pracowników i jednorazowo przyjmuje 120 pacjentów na 22-dniowe turnusy. Pacjentów kwalifikują do rehabilitacji oddziały w Piekarach Śląskich oraz inne szpitale i poradnie. Dodatkowo ambulatoryjnie prowadzi się tu poradnię rehabilitacyjną dla średnio 140 pacjentów miesięcznie.

Przez 50 lat nieprzerwanej działalności na trzytygodniowe turnusy przyjęto ok. 100 tysięcy pacjentów, wykonując obecnie prawie 2 tysiące procedur medycznych dziennie.



~ Andrzej Musioł ~

Zakład psychiatryczny w Lublińcu w okresie międzywojennym

~ Z DZIEJÓW LUBLIŃCA ~

Od niespełna 130 lat zabudowania popularnego „psychiatryka” składają się na pejzaż urbanistyczny miasta Lubliniec. Zakład ten to jeden z większych pracodawców w naszym mieście.

Jak pisze dr Emil Cyran w wydanej w 1929 roku nakładem Śląskiej Rady Wojewódzkiej książce pt. „Zakład Psychiatryczny w Lublińcu – opis zakładu i sprawozdania” jego początki publicznej działalności sięgają 1884 roku. W roku tym oddano do użytku publicznego dwupiętrowy budynek o długości 105 m tzw. „Czerwony Dom”.

Staraniem ówczesnego Starostwa Krajowego w Wrocławiu otwarto w nim Dom Poprawczy dla nieletnich. Dla ogrzania tak dużego budynku wybudowano również kotłownię. W 1893 roku kupiono od Kielmanna

„Zamek” (obecnie hotel Zamek Lubliniec), w którym po adaptacji otwarto Zakład dla Idjotów pod wspólną dyrekcją z Domem Poprawczym. Zakład dla Idjotów funkcjonował około 2 lat po których władze postanowiły przekształcić całość na Zakład Psychiatryczny. W tym celu w latach 1895-96 nadbudowano budynki gospodarcze „Zamku”, nazwane od-tąd „Starym Blokiem”. Od 1904 roku połączone obiekty spełniają funkcje związane z lecznictwem psychiatrycznym. Pierwszym dyrektorem

Zakładu Psychiatrycznego był dr Neisser. Od 1900 roku rozpoczyna się budowa domów mieszkalnych dla urzędników, lekarzy, pielęgniarzy i obsługi Zakładu. W 1902 roku nabyto od tego samego Kielmanna majątek ziemski wraz zabudowaniami gospodarczymi i przeszło 1000 morgów ziemi. W latach 1904–05 Zakład zostaje skanalizowany i otrzymuje oczyszczalnię ścieków.

Od początku XX w. metody lecznictwa psychiatrycznego wiązały terapię farmakologiczną z terapią zajęciową. W tym celu zoorganizowano wówczas dla chorych pacjentów warsztaty: tkacki, krawiecki, szewski, stolarski i siodlarski. Ciekawostką techniczną Zakładu jest budowa w latach 1906–07 elektrowni szpitalnej, której 2 prądnice

po 45 kW napędzane były maszynami parowymi. Dodatkowo jedna prądnica służyła do ładowania baterii akumulatorów. W latach 1909–10 realizowano budowę bloku o długości 75 m dla psychicznie chorych kobiet tzw. „Nowy Blok”. Z tego krótkiego zarysu widzimy, że Zakład rozbudowywany był jako skutek twardej konieczności. W czasie I wojny światowej część budynków zajmowało wojsko niemieckie, po wojnie zaś wojska powstańcze i w czasie plebiscytu oddziały alianckie.



Brama wjazdowa i stary blok męski

Dnia 24.06.1922 r. ówczesny ostatni niemiecki dyrektor Zakładu dr Klinke przekazuje zarząd placówką dr Emilowi Cyranowi – pierwszemu polskiemu dyrektorowi. Wraz z majątkiem trwałym dr Cyran przejmuje wraz z nielicznym polskim personelem (14 osób personelu medycznego i 10 osób personelu gospodarczego) opiekę nad 600 chorymi. Od momentu przejęcia Zakładu przez polskie władze następuje jego dalszy rozwój. Dotyczy to zarówno poszerzenia bazy personelu lekarsko-pielęgniarskiego jak i odnowienia i modernizacji wyposażenia placówki. Zakład w tym czasie podzielony jest organizacyjnie na: część szpitalną, część warsztatową, część gospodarczo-administracyjną, ogród i folwark.

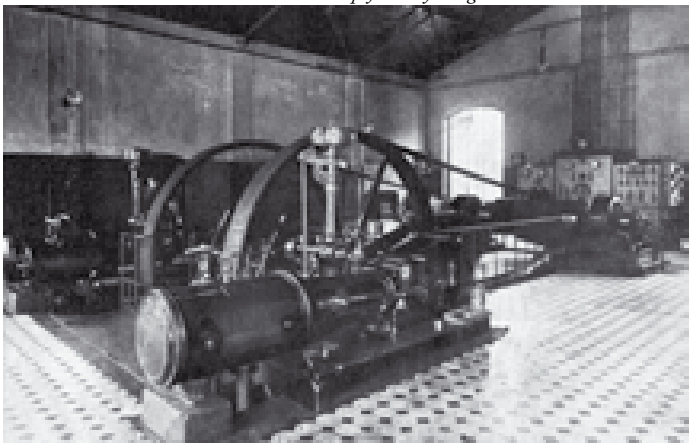
Celem zwiększenia bazy zajęciowej dla chorych otwarto dodatkowo warsztaty: blacharski, ślusarski, betoniarnię, dwie szwalnie dla kobiet i tartak. W omawianym sprawozdaniu z 1929 r. czytamy, że cała działalność gospodarcza służy jak największej samowystarczalności Zakładu jak i czyni usługi na zewnątrz. Przykładem tego jest funkcjonowanie szpitalnego wodociągu, który zasila również pobliskie koszary, szpital im. Seltenów (obecnie powiatowy), klasztor Ojców Oblatów i Gimnazjum wraz z Bursą.



Folwark zakładu psychiatrycznego



Ulica Grunwaldzka, tzw. czerwony blok



Hala elektrowni szpitalnej



Zarząd szpitala



Nowa szwalnia



Warsztat szewski

Śląski Zakład Psychiatryczny w Lublińcu był w okresie międzywojennym jednym z pierwszych szpitali, który obok innych ówczesnych metod leczenia, wprowadził również leczenie pracą. Chorzy biorą udział w budowach domów, szos, pracują w warsztatach, kotłowniach, folwarku, ogrodach i polach. Wielu z nich zajmuje się na oddziałach pracą domową, niedołężni skubią gałganki, świadomi czytają książki i gazety, grają w warcaby. Celem zmniejszenia hałasu na oddziałach stosuje się śpiew chóralny. Przykładem tych prac niechaj będzie most betonowy na Lublinicy wybudowany po powodzi i zerwaniu mostu drewnianego w 1924 roku na terenie obszaru szpitalnego oraz parkan betonowy wzdłuż ulicy Grunwaldzkiej o długości 400 m istniejący do dzisiaj.

Przy niewątpliwie pozytywnych efektach leczenia, zatrudnienie pacjentów w ramach ich możliwości przyczyniło się do poprawienia sytu-

acji gospodarczej szpitala. Przykładem tego niech będzie tabela ze sprawozdania za okres 1.04.1927 – 31.03.1928 r. z powyższej książki w której czytamy, że na ogólny dochód Zakładu wynoszący 1654298,- zł, dochód

wypracowany przez działalność gospodarczą Zakładu wynosi 1280993,- co stanowi 77% ogółu. Z ogólnej sumy dochodów nadwyżka kasowa z poprzedniego roku stanowiła 15%.

Obecnie na początku drugiej dekady XXI w. lecznictwo psychiatryczne opiera się głównie na terapii farmakologicznej, zaś terapia zajęciowa opiera się na pracach artystyczno-rękodzielniczych. Uwarunkowania systemowe dzisiejszego

lecznictwa powodują, że terapia farmakologiczna oparta w głównej mierze na zakupie medykamentów pochodzenia zagranicznego i brak działalności gospodarczej mogących obniżyć koszty funkcjonowania szpitala jest jednym z powodów dzisiejszych kłopotów finansowych placówki.

*Śląski Zakład Psychiatryczny
w Lublińcu był w okresie
międzywojennym jednym
z pierwszych szpitali, który obok
innych ówczesnych metod leczenia,
wprowadził również leczenie pracą.*

~ Kazimierz Bromer ~

Cudze chwalicie... swego nie znacie

***Podróżując po różnych okolicach, miastach w kraju
i za granicą podziwiamy stary układ zabudowy miast.***

Zwykle mamy w centrum miasta rynek z wybiegającymi pod kątem prostym uliczkami. Stare miasta były otoczone murami i fosami, były bramy miejskie zamykane na noc. Obok głównego rynku był mniejszy plac targowy.

Taki układ mamy np. w Krakowie czy we Wrocławiu, gdzie obok głównego rynku znajduje się Plac Solny. Klasycznym przykładem z zachowanymi murami możemy podziwiać w Paczkowie lub w Byczynie.

Wyjątek od takiego założenia to między innymi Gdańsk, gdzie od Złotej Bramy ulicą Długą i dalej koło ratusza Długi Targiem do-

chodzimy do Bramy Zielonej – podziwiając po drodze wspaniałe bogato ozdobione kamienice kupców i rzemieślników, fontannę, dwór Artusa.

W Niemodlinie to długi rynek, a w Pradze Plac Waclawa – Vaclavske Namesti (dawniej koński targ).

***W Lublińcu na najwyższym wzniesieniu
(w starej zabudowie) mamy rynek
główny (różnie nazywany) obecnie
plac K. Mańki, a tuż obok Mały Rynek
– pl. Kopernika, dawniej – Plac
Solny, Kaczy Targ (Entemarkt).***

W Lublińcu na najwyższym wzniesieniu (w starej zabudowie) mamy rynek główny (różnie nazywany) obecnie plac K. Mańki, a tuż obok Mały Rynek – pl. Kopernika, dawniej – Plac Solny, Kaczy Targ (Entemarkt).

Na starych mapach można się doszukać jeszcze trzeciego placu targowego – Targ Garncarski (Töp-



Dzień targowy z furmankami – rysunek z lat 30-40 tych



Ostatnie furmanki po targu



Skwerek z murem oporowym, posadzone młode drzewka – 1961 r.



Rakieta – 1963 – dla uczczenia faktu wystrzelenia sputnika w kosmos, (kilka lat później pofrunęła na wschód – tylko 17 km, wylądowała w Herbach na złomie)



Kłomb kwiatowy z ławeczkami – 1973 rok

fermarkt) – obecnie u. Kilińskiego.

Nazwy te nawiązywały do przywilejów, jakie były nadawane na rzecz miasta przez dawnych władców – między innymi książę opolski Jan Dobry nadaje dla miasta Lubliniec prawo handlu solą, dwa dni targowe w tygodniu, dwa jarmarki w roku.

Według Urbarza z roku 1534, który przedstawia wykaz dochodów, pożytków, czynszu i daniny od różnych rzemieślników i kupców – było 8 warzelní soli. Sól sprzedawano na ryneczku, a składowano w Solarni. Podobnie było w Woźnikach czy Dobrozdzeniu, gdzie mamy dzielnicę Solarnia.

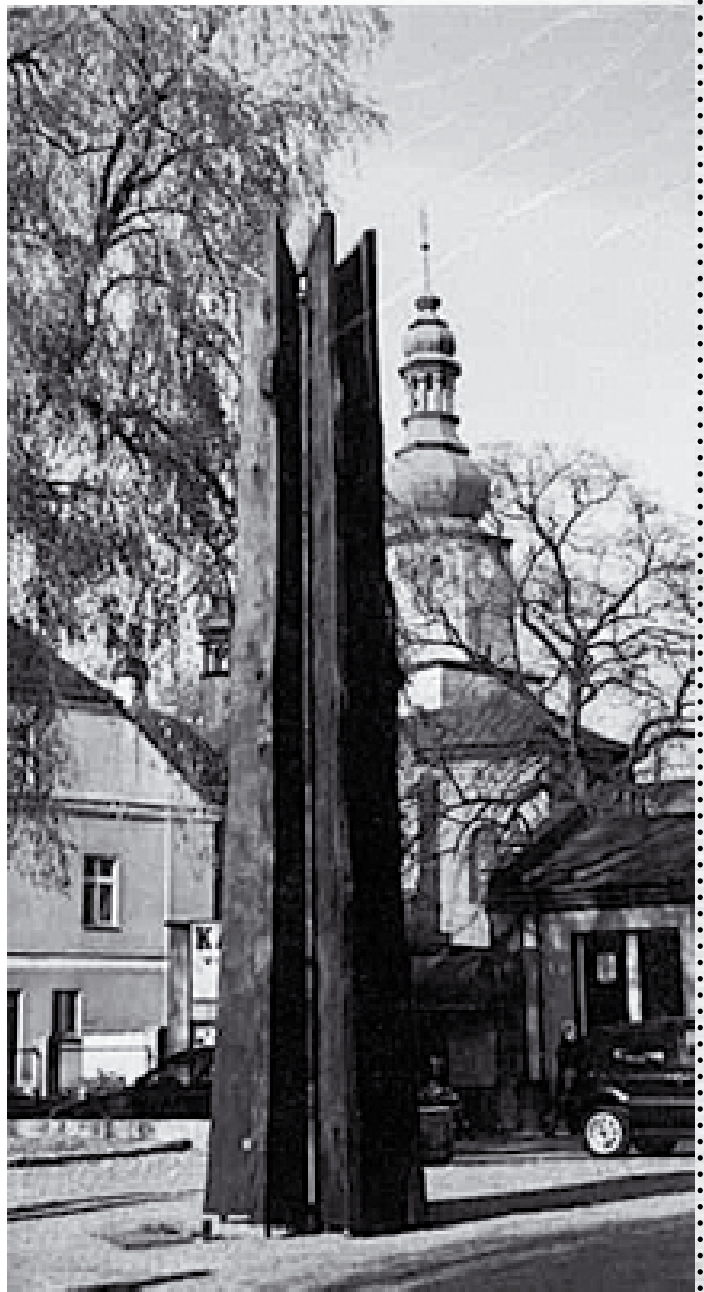
Miasto lakowano w roku 1389 na prawie flamandzkim – jako osada rzemieślnicza – handlowa z prawami miejskimi, własnym sądownictwem i samorządem.

Druga lokacja miała miejsce około roku 1500 na prawie magdeburkim, następuje wykup wójtostwa i władzę przejmuje rada miejska z burmistrzem na czele.

Zarys starego miasta to obszar leżący pomiędzy ulicami: Mickiewicza, Kilińskiego i Damrota. Taki plan nie zmienił się przez wieki. Lubliniec był otoczony wałami ziemnymi i wodą (nie było murów), były 3 bramy:

1. Tarnogórska – pl. Kościuszki – koło stacji benzynowej BP
2. Oleska – na wysokości pawilonu meblowego – ul. Mickiewicza
3. Opolska – przy moście – ul. Piłsudskiego

Na przykładzie kilku zdjęć z różnych okresów tylko jednego placu – Mały Rynek – możemy prześledzić tendencje w rozwoju miasta, historię, sposób zagospodarowania.



Rzeźba plenerowa poświęcona E. Stein – 2005 rok – zdjęcie M. Widera

~ Jan Myrcik ~

Spacerkiem po starym Koszęcinie

~ „DAWNYCH WSPOMNIENIŃ CZAR” (2) ~

Zawsze ludzie starsi opowiadają młodszemu pokoleniu jak to pięknie dawniej bywało. Podobno wówczas ludzie byli bardziej życzliwi, gościnniejsi, mniej zdenerwowani i mądrzejsi. Nie było pośpiechu i właściwie żyło się od wschodu do zachodu słońca, tym bardziej, że Koszęcinie światło elektryczne zabłysło dopiero w 1925 roku.

Chciałbym na chwilę wrócić do tych pięknych, osnutych legendą czasów. Razem z Czytelnikiem przejść dawną „Dorfstrasse” (Wieską) gdzie w początkach XX wieku, zajrzeć w zaułki małych uliczek, które wówczas, nie miały jeszcze nazw i wspominać o przeszłości.

W początkach dwudziestego wieku, Koszęcin skupiał się wokół dzisiejszego centrum. Na peryferiach, gdzieś za wioską stały piękne, zbudowane w początkach XIX wieku, albo jeszcze wcześniej kapliczki poświęcone czczonym tu od wieków Świętym: Janowi i Pawłowi – patronom Koszęcina, św. Janowi Nepomucenowi, św. Wawrzyńcowi, św. Jackowi i św. Florianowi. Dopiero po I wojnie światowej rozpoczęto budowę osiedla południowego, zaś po II wojnie – głównie w wyniku parcelacji dóbr książęcych, miejscowość zaczęła się rozbudowywać. Zabudowano dawne princesowskie „Weide” (ogrodzone pastwiska) położone w południowo-wschodniej części Koszęcina, zabudowano książęce łąki przy dzisiejszej

ulicy Parkowej, także pola i łąki między ulicą Boronowską po Łazowską. Powstało także całe nowe Osiedle położone między prowadzącą na wybudowany w 1884 dworzec kolejowy „Kaschtanienalle”, ulicą Dąbrówki po ulicę Św. Trójcy i Piasek.

Dawna Dorfstrasse, później Hauptstrasse (ul. Główna) miała swój początek na wysokości kapliczki św. Wawrzyńca, jednak pierwsze budynki stały w miejscu dzisiejszego Ośrodka Zdrowia i szkoły, dalej w kierunku południowym były pola i łąki, a gdzieś pod lasem stał otoczony wiekowym cmentarzem i słynący cudownością na daleką okolicę kościółek świętej Trójcy- zwany wówczas: Trinitatiskirche albo Trojckakirche, „Waldkirche, albo „Waldkapelle”. Miejscowość, gdzieś do końca XIX wieku miała swój początek od ulicy Dąbrówki i sięgała do dużego mostu na wysokości dzisiejszej ulicy Recznej, dalej w kierunku północnym były ogrody i pola. Po obu stronach ulicy znajdowały się głębokie rowy, przez które prowa-



Hauptstraße Koszęcin O.-S.



dziły mosteczki, prowadzące do każdej posesji. Wzdłuż drogi rosły stare jesiony i kasztanowce.

Po lewej stronie ulicy – patrząc od południa – znajdowały się następujące budynki: dom starców i szpital ufundowane przez Zamek, piękne budynki z połowy XIX w. zlikwidowane w latach pięćdziesiątych XX wieku (obecnie ośrodek zdrowia i dom opieki). Za parkiem, ozdobą architektoniczną były stojące do dziś budynki urzędników i służby dóbr książęcych. Przed wybudowaną w 1881 roku pocztą, znajdował się drewniany „herest” (więzienie) i domek kapelana zamkowego. Między budynkami piekarza Kowolika i producenta limoniady Sowy stał zbudowany w początkach XIX wieku przez księcia Adolfa zu Hohenlohe „Spitol”, spełniający rolę domu starców. Przed tym budynkiem stał i stoi do dziś kapliczka Matki Boskiej Siewnej. Po prawej stronie ulicy Głównej, obok kapliczki świętego Jana, gdzie wybudowano w 1935 roku nową szkołę, stała kuźnia i mały domek kowala Józefa Szeligi. Trochę dalej w pięknym ogrodzie – zlokalizowany był bliźniaczy budynek (stojący do dzisiaj) przeznaczony dla nadleśniczych i także – przylegający do wspaniałego ogrodu – pałacyk „Forstamt”, dzisiejszego Nadleśnictwa, wybudowany przez Wilhelma Degnera w 1810 roku. Na prawo – przy dzisiejszej ulicy Ligonia – dawniej Tarnowitzerstrasse rozciągał się duży folwark z budynkami gospodarczymi, stodołami, stajniami i chlewami, warsztatami kołodziejskimi i kuźniami oraz kilkoma czworakami dla robotników rolnych. W dużym budynku „na rogu” (dzisiaj fotograf i sklep) czynny był hotel „Salomon”. Tuż za nim, wybudowany w 1871 roku, stojący do dzisiaj czworak z czerwonej cegły, służący pracownikom administracyjnym księcia. Za tym budynkiem stała – rozebrana w latach międzywojennych – najstarsza w Koszęcinie szkoła, a za nią cztery małe budynekzki kryte gontem, podobne do stojącej do dziś chałupki przed urzędem gminy.

Okrasą ulicy był wybudowany w 1898 roku dom żydowskiej rodziny Hofmannów zagrabiony podczas wojny przez ówczesnego Bürgermeistra Josefa Wegnera na siedzibę gminy. Starzy państwo Hofmannowie mieli dwójkę dzieci – Ernę, która w 1938 roku poślubiła warszawskiego fabrykanta i wyemigrowała do Palestyny – co prawdopodobnie uratowało jej życie – i syna Alfreda, prowadzącego po rodzicach „wielobranżowy” sklep. Co to był za sklep... Tu kupiłeś wszystko, od nafty, gutaliny, mydła i naptaliny, po wszystkie artykuły przemysłowe: obuwie, tekstylia, wszystkie narzędzia, po materiały budowlane. W tym domu miał także przez wiele lat swój zakład fryzjerski pan Korosowicz, który był zarazem nauczycielem gry na skrzypcach. Mieszkała tam również rodzina Zoporowskich, prowadząca w drewnianym domku, gdzie dziś przystanek autobusowy karczmę

a w późniejszym okresie – kiedy w Koszęcinie pojawiły się pierwsze motocykle – również malusienką, z ręcznie sterowaną pompą – stację benzynową. Obok budynku „Żyda”, gdzie dziś rynek, stał mały domek i zabudowania gospodarcze z kuźnią pana Szeligi oraz zakład betoniarski „kulawego” od pierwszej wojny światowej starego Wolnego, produkującego rury betonowe i tabliczki na groby. Po prawej i lewej stronie ulicy Głównej mieszkali zadni rolnicy Koszęcina, choćby wymienić Ulfików, Liborów, Siwych, Nancków, Słabików, Ochmanów, Brzeziców. Dzisiejszą ulicą Boronowską płynęła rzeczka przemieszczająca swoje wody przez mały, obramowany drewnianymi palami stawek, zwany „kaśnią”. Przez ulicę – na wysokości kwaciarni państwa Stroby – przerzucony był drewniany most, który zlikwidowano w początkach XX wieku, budując tu trwałą nawierzchnię z kamiennej kostki. Rzeczka od tego czasu płynie w betonowych rurach. W początkach dwudziestego stulecia a również i później, gdzieś do lat pięćdziesiątych, na omawianej ulicy (dziś Powstańców) nie było prawie żadnego ruchu kołowego. Większość ludzi chodziła środkiem ulicy, gdyż w Koszęcinie nie było trwałych chodników. Czasem tylko przejechał tędy chłopski wóz, lub piękna princesowska dorożka. Większość ludzi pracowała na „pańskim”, bądź w ogromnych książęcych lasach.

Dzisiaj dawna ulica Wiejska jest zatłoczoną pojazdami arterią, przez którą trudno przejść na drugą stronę. Można trochę ironicznie powiedzieć, że cywilizacja zniszczyła stary, spokojny i romantyczny Koszęcin, za którym mi czasem tęskno. Chciałbym znowu spotkać na koszęcińskich drózkach, dobrych prostych i mądrych ludzi, którzy niestety już dawno odeszli do wiecznego Bytu. Chciałbym zobaczyć na ulicy Wiejskiej, drabiniaste wozy na żelaznych kołach wypełnione po brzegi snopami dojrzałego zboża, chciałbym aby minęła mnie princesowska dorożka z księciem na skórzanym siedzeniu i z woźnicą na koźle. Chciałbym oczyma dziecka zobaczyć, co kryje się za witrynami małych sklepików i zajrzeć przez uchylone drzwi do dawnych zaczarowanych, roziskrzonych kuźni i do innych romantycznych warsztacików rzemieślniczych. Chciałbym dziecięcą ręką uderzyć w złotą patynę wiszącą nad drzwiami przesympatycznego mistrza fryzjerskiego pana Duraja. Chciałbym doświadczyć jeszcze tyle innych, niepowtarzalnych rzeczy, zapamiętanych z bardzo odległych czasów, ale wiem, że to już nigdy nie wróci. Wiem, że „świat swoją poszedł drogą”. Wiem, że muszę zaakceptować dzisiejszy Koszęcin z „Biedronką”, „Maratonem”, „Mrówką”, „Lewiatanem” i „Delikatesami”. Wiem, że mój rodzinny Koszęcin – w którym żyję od ponad 80 lat – jest dzisiaj inny od czasów mojego dzieciństwa i może na swój sposób piękny. Powtórzę jednak za poetą: „Tęskno mi Boże”.

O ostatniej podróży hrabiego Ballestrema opowiadał Roman Olczyk

Pod koniec Drugiej Wojny Światowej byłem woźnicą hrabiego Ballestrema. Hrabiego znałem od najmłodszych lat, albowiem w jego majątku w Kochcicach mieszkałem z rodzicami od urodzenia.

Kiedy w wieku 22 lat zaproponowano mi posadę woźnicy Ballestrema, miałem wielkie obawy czy podołam obowiązkowi, zwłaszcza że nie znałem języka niemieckiego. Mogę jednak stwierdzić, że hrabia był z mojej pracy bardzo zadowolony. To mnie przypadło powozić w jego ostatniej podróży w jaką wyruszył ze swoich ukochanych Kochcic.

Wyjechaliśmy z Kochcic 18 stycznia rano, tak koło 10.00. To była zima, ale w ten czas nie było za zimno, tak że jechaliśmy odkryci, nie saniami tylko na kołach gumowych. Prowadziłem powóz, w którym siedział Ballestrem i Hanusek. Drugim wozem jechał Regierungsrat (dyrektor majątku Kochcice-dr Alois Haehling-przyp.M.K.), powoził mój brat Józef. Towar i żywność wiezione były rolwągą (platforma, wóz do przewożenia ciężkich towarów) przez Grzegorza Kniejskiego. Był jeszcze jeńiec ruski, on wiół paszę dla koni. Jechał też mechanik Koza, ale oni się potem od nas odłączyli. Był też z nami Stanik Stroba, to był leśniczy, ale on końmi nie jechał. Pani Merc (główna gospodyni w pałacu-przyp.M.K.) jechała landauerem (zamknięty powóz z czterema miejscami dla pasażerów i z podwyższonym siedzeniem z przodu dla powoźącego), nie pamiętam kto powoził. Z Kochcic dojechaliśmy do Skrzydłowic, tam staliśmy jakieś 3–4 godziny. Jeszcze liczyliśmy z bratem, że kto wie czy my nie będziemy wracać z powrotem-tak długo się umawiali. Później stamtąd jechaliśmy aż do Strzelec. Tam mieliśmy pierwszą noc. Myśmy z bratem w stajniach zajmowali się końmi. Gdzieś po drodze uciekł myśliwski pies Ballestrema. On go trzymał na kolanach. Pies zauważył zająca i jak poszedł... To był brązowy jamnik, Zeppel się nazywał, pamiętam, bo przedtem opiekowałem się nim na trasie. Na noc miałem go zawsze uwiązane, żeby mi nie uciekł. Dłużej staliśmy w Pusznynie, to już było za Odrą. Jak przez tę Odrę przejechaliśmy, to z bratem rozmawiałem, że teraz już pewnie wracać nie będziemy. Jak Odrę przejechaliśmy to już nic z tego. W tej Pusznynie to staliśmy parę dni. Chyba dlatego, że tak jakoś liczyli, że wschodni front dojdzie tylko do Odry. Dlatego jak się front zaczął zbliżać, tak my potem znów dalej. Widocznie w niektórych miejscach Rusczy przekroczyli Odrę i nasi wiedzieli że pójda znów dalej. Myśmy potem dojechali do Hirschberg... to jest Jelenia Góra. Byliśmy tam kilkanaście dni, pamiętam bo tam nawet u fryzjera byłem się ostrzyć. Była dosyć kolejka, myśmy byli ubrani niezbyt wytwornie-jak to w drodze i tak jakoś nie chciałem nas załatwić. W końcu ktoś się odezwał, że przecież jesteśmy uciekinierami i ten fryzjer nas ostrzygł. Jak przejeżdżaliśmy przez góry mało nie doszło do katastrofy. Była śnieżycy i silny mróz. Nasze wozy nie były dostosowane do takich ciężkich warunków. Rolwaga nie miała hamulców i zaczęła się staczać z góry. Cudem udało się uniknąć wypadku. Coraz częściej musieliśmy się też chronić przed nalotami samolotów. Jak dziś pamiętam... strasznie dużo było uciekinierów z tego... Breslau z Wrocławia.

Jeszcze utkwilo mi w pamięci... to było w zimie, niektórzy wieźli na saneczkach swoje pakunki. No, a potem zrobiło się jakoś tak ciepło, to po rowach, tak po tym śniegu ci ludzie jechali. Ballestrem nic tylko powtarzał

„Mein Gott, mein Gott”. Jak tych ludzi widział, tak ubolewał.

Trudy podróży sprawiły, że hrabia zachorował na tyle poważnie, że został umieszczony w szpitalu w Dreźnie. On miał wtedy 70 lat. Już nigdy więcej go nie spotkałem...

My zatrzymaliśmy się w jakimś majątku za Dreznem. Tam dojechała rodzina Ballestrema, która inną kolumną przyciągnęła ze Szklarów. Ja miałem polecenie odwiedzić razem ze Stanikiem Strobą na stację krawego naszego grafa i kilkoro dzieci. Kiedy dojeżdżaliśmy do dworca w Dreźnie zaczynały nadlatywać samoloty, wyły syreny, kazali uciekać do schronów. Tamci zostali na stacji, nam kazali wracać. Gdyby wtenczas pojechali z nami pewnie by przeżyli. Potem podawali w radio, że ten krawy, Mikołaj Ballestrem zginął w bombardowaniu, on i dzieci jego brata...

Jak wyglądał nalot na Drezno? Samoloty szły nad nami... Ja bym nie chciał już tego przeżywać. Wtenczas byłem na innych nerwach, dzisiaj bym nie wytrzymał tego. Tam nie szło pięć czy dziesięć samolotów tylko cała eskadra... A potem te bombardowanie... powietrze było ciężkie do tego stopnia, że człowieka aż cisnęło. To były ponoć te fosforbomby... nawet kamień się palił. Potem już nie dało się jechać przez miasto. Później przekroczyliśmy rzekę Muldę i dotarliśmy do Wechselburgu, dostaliśmy się pod Anglików, a Drezno zostało u Ruskich. Razem z Regierungsratem wróciliśmy się, już nie bryczką tylko rolwągą na mosty graniczne. Chcieliśmy dotrzeć do naszego grafa, ale ruski żołnierz zabrał nam dokumenty i nie udało nam się przedostać. Musieliśmy się wycofać. W Wechselburgu przebywałem do czerwca. Proponowano mi, żebym tam został, ale ja pragnąłem wrócić. W Kochcicach została przecież rodzina i moja narzeczona...



Pan Olczyk w bryczce, która być może należała do hrabiego Ballestrema

~ Bogusław Hrycyk ~

Śladami historii

Historia Karliczka i Karolinki – z Czech przez Prusy do Polski

**„Poszła Karolinka do Gogolina
a Karliczek za nią, jak za młodą Panią
z flaszczyką wina”**

Któż z nas nie zna słów i melodii popularnej na Śląsku piosenki ludowej? Czy twórczość ludowa to tylko fantazja literacka, czy też może być opisem zdarzeń z historii?

Ród Karliczków pochodzi z czeskich osadników, którzy w połowie XVIII w. przenieśli się z okolic Hradec Kralove na Śląsk. Początkowo osiedlili się w kolonii Husiniec (1749 r.) powiat Strzelin (Strehlen), skąd z czasem rozprzestrzenili się na cały Śląsk Opolski. W 1779 roku 40 rodzin, wśród nich Franz Karliczek z rodziną, przeniosło się do nowej osady Lubienic (od 1782 r. Sacken) pod Opolem. Tu właśnie w 1866 roku urodził się Fridrich Karliczek bohater naszej piosenki. Karolina Karliczek (z innej gałęzi rodu) urodziła się w 1884 roku w Grodźcu. Ich drogi spotkały się, gdy Fryderyk był już dojrzałym żonatym mężczyzną, a Karolina piękną, młodszą o 18 lat panną. Romans, a może miłość żonatego mężczyzny z młodą dziewczyną nie mógł być akceptowany przez środowisko. Karolinę szybko wydano za mąż za Józefa Krajczy.

W 1905 roku Fryderyk wraz z bratem i grupą osób wykupują nowe grunty i zakładają osadę Bzinica Nowa (Wilhelmshort), do której przeniósł się ogółem 358 osób z Sacken i Grodźca. Historia zatoczyła jednak dziwne koło. Po latach także Karolina wraz z mężem przeniosła się do Bzinicy Nowej. W roku 1940 syn Fryderyka Karol żenił się z córką Karoliny Elżbietą. W ten sposób kończy się miłosny wątek tej opowieści, dzieci osiągnęły to, czego nie było dane ich rodzicom.

Dalsze losy Karliczka i Karolinki są różne. W 1921 roku po III Powstaniu Śląskim i podziale Górnego Śląska Fryderyk wraz z żoną i dwoma synami przenoszą się do Lublińca. Umiera w 1933 roku i zostaje pochowany w Lublińcu na cmentarzu ewangelickim (obecnie część wojskowego). Karolina ginie tragicznie w 1939 r. i zostaje pochowana na cmentarzu ewangelickim w Bzinicy Nowej.

Kolonizacja fryderycjańska

W latach (1740–1742) (1744–1745) (1756–1763) Prusy i Austria toczyły ze sobą kolejne wojny, które do historii przeszły pod nazwą „wojen śląskich”. Ich przebieg i rozstrzygnięcia miały wielki wpływ na losy znacz-

nej części Śląska, w tym także ziemi lublinieckiej. Zwycięstwa Prus spowodowały zmianę granic, oderwanie Śląska od Monarchii Habsburskiej i wejście w skład Królestwa Pruskiego.

Polityka ekonomiczna Fryderyka II Wielkiego (tzw. Kameralizm) zakładała utrzymanie dodatniego bilansu handlowego przez ograniczenie importu, utrzymanie jak największej ilości pieniędzy w kraju i większe wpływy podatkowe. Dużym wkładem w budowę potęgi gospodarczej państwa było uznanie bogactw naturalnych ziemi za tzw. „regalia” czyli własność królewską i początek budowy przemysłu (huty i kopalnie) na Śląsku. Już w 1754 r. powstaje pierwsza Królewska Huta Żelaza w Ozimku. Proklamowanie przez Fryderyka II prawo do wolności sumienia i wyznania dot. m.in. czeskich ewangelików, spowodowało wzrost osadnictwa na terenach wschodniej części Śląska. W latach 1740–1806 na Śląsku osiedliło się ok. 60 tys. kolonistów głównie z Czech. Edykt królewski z 1773 r. przynajmniej duże ulgi i pomoc dla kolonistów oraz przywileje i premie-

(..) Lubienic pod Opolem. Tu właśnie w 1866 roku urodził się Fridrich Karliczek bohater naszej piosenki. Karolina Karliczek (z innej gałęzi rodu) urodziła się w 1884 roku w Grodźcu. Ich drogi spotkały się, gdy Fryderyk był już dojrzałym żonatym mężczyzną, a Karolina piękną, młodszą o 18 lat panną.

za zakładanie nowych osiedli (150 talarów dla prywatnego inwestora) spowodował wzmogoną tzw. „kolonizację fryderycjańską”. Do 1806 r. na Śląsku założono 446 nowych osad, w tym 228 na Górnym Śląsku, najwięcej w powiatach: opolskim (56), ale także oleskim, kluczborskim, niemodlińskim (79), namysłowskim, wołowskim, mickim (62), Ziemi Kłodzkiej (77). Zakładano osady „służebne” przy dworach i folwarkach prywatnych, „państwowe” przy powstających zakładach przemysłowych oraz „leśne” dla zaopatrzenia pieców hutniczych w opał. Wzrost liczby ludności w drugiej połowie XVIII w. był nieodzownym elementem rozwoju gospodarczego Śląska i przesłanką do przyszłego rozwoju przemysłu i potęgi gospodarczej Śląska.

BIBLIOGRAFIA:

1. Historia Śląska – Redakcja: M. Czaplinski, E. Kaszuba, G. Wąs, R. Żerelik, Wyd. Uniwersytet Wrocławski – Wrocław 2002 r.
2. Historia Górnego Śląska – Redakcja: J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek – Gliwice 2011
3. „To, o czym pamiętamy i to, o czym zapomnieliśmy” – Dzieje rodziny Karliczków; Elfyda Zajac; wyd. prywatne.

Karolinka jest wśród nas

~ OPOWIĄSTKI Z ŻYCIA EWY ~

Poszła Karolinka do Gogolina A Karliczek za nią Jak za młodą panią Z flaszeczką wina.

Ewa do domu wracała w nastroju skowronka i gdyby nie pasażerowie autobusu, śpiewałaby na całe gardło. Taki sukces... Szczęściem mogłaby obdarzyć wszystkich wokół i jeszcze starczyłoby komuś na dokładkę. Och i ach... i tak w kółko. Nieznajomy pasażer przerwał czytanie, odłożył gazetę, uważnie przyjrzał się Ewie i bezceremonialnie powiedział:

– Dziewczyno, co ty tak sapiesz i stękasz? A wierzysz się, jakby ktoś cię nakręcił!

– Wie pan, ja osiągnęłam ogromny sukces, pozytywnie zaliczyłam rozmowę kwalifikacyjną i zostałam przyjęta do pracy w nowo otwartym zakładzie w sąsiedniej miejscowości.

– A szef przy rozmowie był?

– Był. Nawet mnie poczęstował lampką wina.

– I byłaś ubrana tak jak teraz? Spódniczka zaledwie zakrywa majtki, a dekolt odsłania najpiękniejsze zabytki egipskiego świata, a szef, jak każdy szef, jest wrażliwy na piękno, więc...

– Niech pan nie kończy zdania... bo podrapię. Nikt nie ma prawa zwracać mi uwagi, jak mam się ubierać ani porównywać mojego biustu do piramid! – syknęła Ewa.

– Na szczęście u panienki uroda idzie w parze z rozumem. Szybko się odnajdziesz w nowej sytuacji i zapewne nie pozwolisz sobie w kaszę dmuchać, ale łatwo nie będzie. Ani tobie, ani szefowi – odpowiedział rozbawiony mężczyzna i uśmiechając się pod nosem, rozłożył gazetę, zabrał się do czytania, ale kątem oka zerkał na dziewczynę, bo przyciągała uwagę.

Ewa siedziała naburmuszona. Prowadziła wewnętrzny monolog, w ten sposób ulżyła sobie w milczącym złorzeczeniu nieznanemu, bo czuła się tak, jak to sama określała – jakby ją ktoś z najwyższego szczytu radoznego uniesienia strącił w dolinę głębokiego smutku i zamknął w jaskini nicości. Po czym wróciła do rzeczywistości i... spódniczka krótka, to fakt, ale moje prawo, bo nogi mam długie i zgrabne, dekolt głęboki, bo biust, to też fakt, kształtny jak dwie piramidki. Ale jeśli ktoś błędnie odczytuje moje intencje, zmieniam zestaw ubioru. Wysiadając z autobusu zwróciła się do nieznanego:

– Do pracy założę spodnie.

Mężczyzna zlustrował sylwetkę Ewy tam i z powrotem, wte i wewte i z łobuzerskim błyskiem w oku, ale z całą powagą znawcy, rzekł:

– Tylko proszę nie zakładać biodrówek, bo pępek będzie na wierzchu!

Nie goń mnie Karliczku Czego po mnie chcesz Joch ci już pedziała Nie byda cie chciała Som to przeca wiesz.

Portier telefonicznie poinformował sekretarkę dyrektora o zgłoszeniu

się stażystki do pracy. Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył nadchodzącego dyrektora, który zazwyczaj ponury i przygarbiony, teraz przed dziewczyną prężył się jak kogut, żeby zapiąć zwycięskie kuku-ryku, giął w ukłonach, rączkę obcmokał jej ze wszystkich stron i niemal tanecznym krokiem poprowadził w stronę biurowca.

– Koniec świata, ten chłop zgłupiał, przed taką małąlatą lambadę odstawiać? – wymamrotał oszołomiony portier, dodając ironicznie – ciekawe, co powiedziałyby na to jego żona albo córka, prawie rówieśnica.

Dyrektor wprowadził Ewę do biura, pokazał jej miejsce pracy, zachwalał oświetlenie, blat pod komputerem, najnowszy model krzesła, po czym poprosił przymilnym głosem, by na nim usiadła, a on już dopasuje prawidłową wysokość i odległość, więc żeby dopasować wysokość musiał się pochylić do kolan, a żeby dopasować odległość, musiał Ewę otulić ramionami. Dwie panie, współpracownicy, wymieniły między sobą spojrzenia, znacząco się uśmiechnęły i udawały, że intensywnie pracują. Gdy dyrektor wyszedł, Ewa odezwała się:

– Nie przypuszczalam, że nowych pracowników wita się tak sympatycznie, jestem zaskoczona troskliwością szefa.

– My też – odpowiedziały panie niemal równocześnie.

W godzinach popołudniowych dyrektor osobiście wręczył Ewie zaproszenie na wyjazd integracyjny, podkreślając, że obecność jest obowiązkowa. Rozpływał się w zachwalaniu ośrodka hotelowego, malowniczo opisywał krajobraz widziany z okien budynku, zachwalał wędrowniki na szlakach turystycznych.

– Kiedy i o której jest wyjazd? – zapytała jedna z pracownic.

– Was to nie dotyczy, wy jesteście już zintegrowane.

– Mnie to też nie dotyczy, jestem nowa i jeszcze się nie zaaklimatyzowałam, integracja to wyższy stopień znajomości, a ja zamierzam na szczeble rozwoju zawodowego wchodzić po kolei, by móc się w każdej chwili zatrzymać na bezpiecznym szczebelku.

– Ale ambitna! – spostrzegł dyrektor i skłoniwszy głowę, wyszedł bez słowa.

– Już wiekowy ten nasz szef – pomyślała Ewa, widząc łysiejący placek na jego głowie starannie zaczesywany resztką dłuższych włosów. Biedny, i po co udaje młodzika, kiedy wystarczy otwarte okno i lekki przewiew, by w dojrzałym mężczyźnie zobaczyć zakompleksionego człowieka.

Oczywiście, jak słusznie Ewa przypuszczała, nie było żadnego zbiorowego wyjazdu w góry, ale dyrektor często wpadał do biura, by się, jak to określały koleżanki, pogapić na Ewę, a ponadto był mistrzem w stwarzaniu sytuacji nie do odrzucenia. Gdy kończył się czas pracy i Ewa kierowała się z koleżankami na przystanek autobusowy, dyrektor podjeżdżał swym luksusowym samochodem i z piskiem opon zatrzymywał się przed nimi. Patrzył na Ewę uporczywym wzrokiem i proponował, że odwiezie ją do domu szybko dodając:

– Koleżanki zapraszam również.

Ale nie dodał, że wyłącznie jako przyzwolitki.

Dyrektor myślał i myślał, aż doszedł do wniosku, że jednak wspólny wyjazd wszystkich pracowników jest najlepszym pomysłem. Przywołał córkę i zapytał:

– Czy chcesz coś zarobić?

Córce aż się oczy zaświeciły, bo wyczuła, że może grać o wysoką stawkę, jeśli podejmie się negocjacji, więc przytaknęła.

– Czy możesz nauczyć mnie tańczyć? Zamierzam zorganizować wyjazd



integracyjny. Po kolacji będzie dyskoteka, a ja nie znam tych wygibasów i nie umiem skakać do rytmu, a nawet nie znam piosenek, do których się tańczy.

Spokojnie wysłuchiwała zamierzeń taty, pomyślała i sygnęła pytaniami, mającymi na celu podniesienie stawki:

– Czy wymagasz całkowitej dyskrecji?, czy kurs ma być przyspieszony? czy jesteś świadomy ułomności swej figury – duży tyłeczek i jeszcze większy brzuszek- oczekiwane efekty mogą być trochę mizerne. Żeby tylko się z ciebie nie śmiali!

– Niechby ktoś spróbował się zaśmiać!

Szybko doszli do porozumienia i rozpoczęli ćwiczenia. Córka robiła, co mogła, ale na tym materiale męskim niewiele mogła, więc tylko wzdychała:

– Całe szczęście, że mama tego nie zobaczy.

Zobaczyła natomiast cała załoga i każdy stawiał sobie pytanie: – Przed kim on się tak popisuje?

W zakładzie dobrze się działo, przyjmowano więcej zamówień, więc panie od spraw papierkowych miały wydłużony czas pracy. Dyżurówki miały na zmianę. Rodzice martwili się, w jaki sposób Ewa dotrze do domu, bo przecież o tej godzinie autobusy już nie kursowały, wtedy odpowiedziała żartobliwie:

– Szef podrzuci mnie samochodem.

– Nie podoba mi się to rozwiązanie, kłopotliwa uprzejmość – powiedział tata.

– Dla kogo?

– To zależy, kto więcej ma do stracenia. Sama rozważ.

Dyrektor poprosił ją o przysługę. Zbliżyły się urodziny córki, więc zamierzał kupić jej coś do ubrania, a ponieważ on już nie z tej epoki, zaproponował, żeby Ewa pojechała z nim na zakupy, będzie mogła w sklepie wszystko przymierzyć, bo córka ma ten sam rozmiar.

– Skąd on wie, jaki ja mam rozmiar? – pomyślała, ale zaraz odpowiedziała sobie – jego problem – kupi źle, córka odeśle go z powrotem do sklepu.

Na zakupy wyjechali w godzinach popołudniowych. Najpierw wstąpili do kawiarni, bo szef był spragniony małej kawy, więc Ewa zapytała, co konkretnie będzie kupował, no i usłyszała:

– Kochana, my mamy dużo czasu, nie spieszmy się, będziesz mierzyła przepiękne ubranka, począwszy od koronkowych seksownych majteczek, biustonosików, poprzez bluzki, spodnie, sukienki, a ty to będziesz mi prezentowała, a ja to będę akceptował lub odrzucał.

– A gdzie ja to będę prezentowała do akceptacji?

– Jak to gdzie? W przymierzalni! – Obsługa sklepu nie wpuszcza do przymierzalni starych zbereźników! A ponadto nie mam dużo czasu, muszę się spieszyć do domu, bo mamy skubanie gęsi!

– O tej porze roku? W takie upały?

Ewa wręczyła dyrektorowi całą stertę ubrań. Kasjerka liczyła, odchodziła od kasy, wracała z nowym towarem, wkładała do firmowych toreb, aż po dłuższym czasie znaleźli się w samochodzie. Nie zatrzymywali się, prowadzili grzecznościową rozmowę. Skorzystała z okazji i zwróciła mu uwagę na szerzące się plotki na ich temat, a ona nie życzy sobie, by łączono ich nazwiska i ma nadzieję, że przestanie się na nią gapić cielęcym wzrokiem i opanuje się, jak przystało na porządnego człowieka.

– Sprawa będzie załatwiona – odpowiedział.

Gdy dojechali do domu, dyrektor wyjął z samochodu największą tor-

bę, postawił ją przed Ewą, podziękował za pomoc i nim zdążyła ochłonąć, odjechał.

Ewa początkowo przyjmowała wyrazy sympatii jako coś naturalnego. Była przyzwyczajona do komplementów, przykuwała uwagę chłopców, ale żeby wzbudzić zainteresowanie dojrzałego mężczyzny? I co on sobie wyobraża, że ją kupi? Przyniosła duży karton, przepakowała do niego rzeczy z torby, obłożyła ozdobnym papierem, nalepiła kartkę z adresem dyrektora, ale wypisała samo nazwisko, bez imienia, gdy rodzinka otworzy paczkę, to wiadomo, że to prezent dla córki. Paczkę przejął kurier.

Nazajutrz dyrektor rozwiązał problem przepływu sąsiedzkiej informacji – wszystkie osoby z miejscowości Ewy zostały zwolnione. Sądził, że wyciszy sprawę, a dołał oliwy do ognia

– Co pan wymyślił? Czy stateczny dyrektor, mąż i ojciec, za jakiego dotychczas uchodził, nie umie zrozumieć, że uganiecie się za dziewczyną, ośmiesza go? I że ta świeża dziewczyna nie chce go?

– Za chwilę stąd wyjdę i wszystko ma pozostać po staremu. A jak pan komukolwiek zrobi krzywdę, to wrócę i podbiję panu oko tak, że długo nie będzie mógł się pokazać ludziom.

– Smarkuła!

– I wreszcie to do pana dotarło!

Prowadźże mnie dróżko Hen w szeroki świat Znojdą tam inszego Syneczka miłego Co mi będzie rod.

Ewa postanowiła zmienić plany życiowe. Początkowo nie zamierzała studiować stacjonarnie, by nie zostawiać rodziców samych, ale teraz za ich namową szukała wolnych miejsc na uczelniach technicznych. Udało się, dodatkowe załączniki dowiozła osobiście. Informacji udzielali studenci starszych lat, było to wesołe towarzystwo, w którym od razu poczuła się swojsko. Na dłuższą dyskusję przenieśli się do studenckiej kawiarenki, wymieniali sobie adresy, uśmiechy i spojrzenia, a jeden z nich nawet mrugnął do niej oczkiem. Pod koniec września wyjeżdżała do akademika, więc z bagażami stała na przystanku i czekała na przyjazd autobusu. Z piskiem opon zatrzymał się, znany jej dobrze, luksusowy samochód. Za kierownicą siedziała żona dyrektora.

– Zapraszam do samochodu!

Kobieta widząc wahnienie Ewy, wysiadła i otworzyła bagażnik.

– Nie będziesz się z bagażami taszczyła po dworcach, dowiozę cię na miejsce docelowe, bo tam jadę, więc nie musisz mieć skrupułów. Zaoszczędzisz na biletach, na studiach pieniądze rozchodzą się szybko.

Podróż minęła przyjemnie. Jakież było zdziwienie Ewy, gdy zaproponowała jej pomoc w jakichkolwiek trudnościach, począwszy od finansowych aż po lokalowe. Wręczyła jej swoją wizytówkę z numerem telefonu i dodała:

– Mam liczne znajomości, mogę załatwić stancję w bezpiecznej dzielnicy i dorywczą pracę w dni wolne od zajęć.

Ewa nie potrafiła uwierzyć w jej bezinteresowność, więc przy pożegnaniu zapytała:

– Dlaczego mi pani pomaga?

– Bo jesteś tego warta!

130 lat zorganizowanego rzemiosła w Koszęcinie

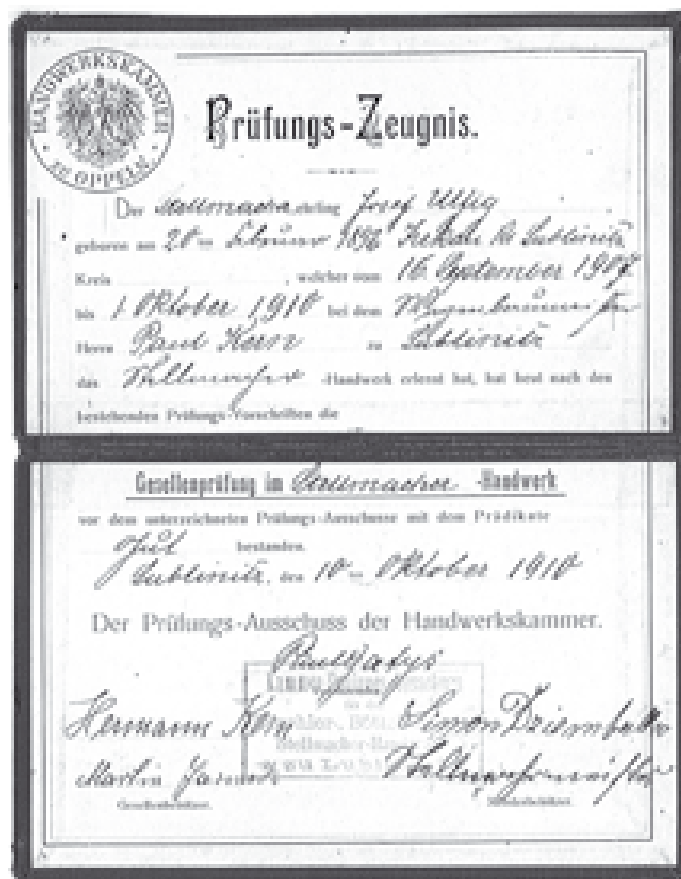
We wtorek 19 marca 2013 roku odbyła się w Koszęcinie niecodzienna uroczystość. Rzemieślnicy tej miejscowości ufundowali sobie nowy sztandar z okazji (ponad) 130-letniej rocznicy utworzenia w Koszęcinie „Stowarzyszenia Kupców i Rzemieślników”, które to Stowarzyszenie działało tam także w całym okresie międzywojennym.

Fundusze na ten szczytny cel pozyskano – poprzez Stowarzyszenie Inicjatyw Społecznych w Koszęcinie – ze środków unijnych. Inicjatorem tego przedsięwzięcia jest pan Witold Wojtal, właściciel zakładu rzemieślniczego w Koszęcinie. Sprawami organizacyjnymi zajmuje się Komitet Organizacyjny w składzie: Witold Wojtal, Marian Ulfik, Paweł Nawara i Piotr Wons. Po uroczystej Mszy św. w kościele NSPJ, odbyło się rocznicowe spotkanie licznej rzeszy koszęcińskich rzemieślników i zaproszonych Gości. Spotkanie – nawiązując do tradycji – odbyło się w dawnej restauracji „U Lesza” (dziś Havanna), w której począwszy od czasów pruskich, poprzez polski okres międzywojenny odbywały się wszystkie spotkania i uroczystości koszęcińskich organizacji społeczno-kulturalnych. Piszący te słowa miał także przyjemność przedstawić zebranych bogatą historię koszęcińskiego rzemiosła. Fragmenty tego referatu – które zamieszczam poniżej – zainteresują z pewnością Czytelnika „Ziemi Lublinieckiej”, bo ich treść przedstawia w szerszym – ponad koszęcińskim – kontekście dzieje rzemiosła.

Krótko o historii rzemiosła

Rzemiosło ma swoją bogatą i bardzo długą historię, zapoczątkowaną już w pewnej mierze w czasach antycznych, kiedy to sztukę zaliczano do rzemiosła, a artystów – w tym wybitnych malarzy i rzeźbiarzy nazywano rzemieślnikami. Jest niezaprzeczalnym faktem – twierdząc jakby odwrotnie – że przynajmniej niektóre rzemiosła i dzisiaj można zaliczyć do sztuki, a rzemieślników o tzw. „złotych rękach” obdarować terminem artysta. Jedną ze współczesnych definicja rzemiosła brzmi: „Rzemieślnik to przedsiębiorca, który we własnym imieniu i na własny rachunek, z udziałem pracy własnej wykonuje działalność gospodarczą na podstawie dowodu kwalifikacji zawodowych”. Dowodem kwalifikacji może być dyplom uczelni, lub szkoły technicznej, dyplom mistrzowski, lub świadectwo czeladnicze, albo tytuł robotnika wykwalifikowanego”. Przez całe wieki rzemiosło nazywano „kunsztem”, a mistrzów obdarowywano bardzo szlachetnymi zwrotami: „mistrz szlachetnego kunsztu”, magister sławetnego kunsztu, „szlachetny i kosztowny mistrz”.

Początki organizacji rzemiosła w Europie, w Polsce i na Śląsku spotykamy już u zarania doby historycznej. Wówczas to rzemiosło uzależnione było jednak od struktury prawno-ustrojowej, gospodarczej i kulturowej panującej w grodach warownych. Nie miało ono żadnych form organizacyjnych, podobnych do tych, które później tworzyły stan rzemieślniczy i rządziły się prawem rzemiosła, zawartym głównie w statucie Cechów rzemieślniczych. Rozkwit rzemiosła i jego upowszechnienie przypada na średniowiecze, kiedy to następował rozwój miast. Najpierw rzemiosłem zajmowały się klasztory, a trochę później rzemieślnicy różnych branż zakładali swoje warsztaty, w których wytwarzano różne wyroby i świadczono określone usługi panom i mieszczaństwu. W tym czasie powstawały też



pierwsze Cechy rzemieślnicze, które rządziły się „Prawem cechowym”, regulującym całokształt pracy i zachowań członków Cechu. Pierwsze cechy powstały we Włoszech prawdopodobnie już w XI wieku. Nieco później cechy rodziły się we Francji i w innych krajach Europy zachodniej, w tym także na Śląsku i w Polsce. Zasadnicze przeobrażenia na śląskiej ziemi przyniosła z początkiem XIII wieku tzw. „kolonizacja na prawie niemieckim”, która charakteryzowała się między innymi tworzeniem skupisk rzemieślniczych w nowoustrajowych osadach grodzkich – czyli w miastach. Na Śląsku pierwsze Cechy powstały w połowie XIII wieku we Wrocławiu. Później, w wiekach XIV i XV powstawały cechy w Nysie – 1313, Opolu – 1315, Raciborzu – 1375, Koźlu, Gliwicach, Tarnowskich Górach – pierwsze dekady XVI w., Bytomiu – 1421, Kluczborku, Lublińcu i w Woźnikach. Prawo cechowe nakładało na swoich członków respektowanie chrześcijańskich zasad moralnych, kierowanie się uczciwością i rzetelnością wyko-

nywania zawodu. Cechy tworzyły też ze swoich składek i kar porządkowych fundusz charytatywny, przeznaczony na pomoc dla chorych, niedołączonych i żyjących w biedzie członków cechu i ich rodzin. Każdy Cech branżowy miał swój znak graficzny i swego świętego patrona, Większość cechów posiadała także sztandar na którym – oprócz znaku cechu widniała podobna patrona.



Członkowie cechu mieli poczucie własnej godności i wartości, co przejawiało się m.in. w zwrotach językowych, strojach zawodowych, godłach rzemiosła itp. Tradycyjne życie cechowe na Śląsku zaczęło się załamywać w XVIII i XIX wieku. Pewien nowy porządek odradzający śląskie rzemiosło dotyczył czasów, kiedy Śląskiem zawaładnęły prawie na dwa wieki Prusy (1742 – 1922). Już u samego początku aneksji Śląska przez to państwo – w początkach XVIII wieku – rzemiosło śląskie ulegało reorganizacji, powodowanej głównie uprzemysłowieniem tej krainy. Wtedy to niektóre zawody zniknęły a zaczęły się rodzić nowe, małe zakłady rzemieślnicze przeobrażały się w fabryczki, zatrudniające coraz więcej pracowników. Następowala mechanizacja produkcji i rosła wydajność pracy. Rzemiosło wchodziło na nową drogę rozwoju. W 1811 roku państwo pruskie zniósł obowiązkowy przymus cechowy, wprowadzając tzw. „karty rzemieślnicze”, zaś 1869 roku, na skutek wprowadzenia „ustawy przemysłowej”, znaczenie dawnych cechów traciło na znaczeniu. W 1869 roku działało na Śląsku 468 cechów. Dalsze zmiany w rzemiosle na Górnym Śląsku były już tylko kwestią czasu. Przemysł niszczył w pewien sposób małe zakłady rzemieślnicze. W fabrykach produkowano na skalę przemysłową potrzebne ludności wyroby włókiennicze, obuwnicze, produkty do gospodarstw domowych i inne. Do pierwszych lat XX wieku przetrwały tylko niektóre stare branże, rodziły się nowe zawody, inne musiały przeprofilować swoją produkcję i usługi. Po przyłączeniu w 1922 roku części Górnego Śląska do Polski i utworzeniu Izby Rzemieślniczej w Katowicach następowało w polskiej części Śląska dalsze przeobrażanie rzemiosła.

Warto chociaż w krótkim zarysie przybliżyć rozwój rzemiosła na ziemi lublinieckiej, do którego to kręgu rzemiosło koszęcińskie zawsze przynależało. Lubliniec i powiat lubliniecki miały podobną do reszty Śląska historię, podobną do krajów które tu panowały – Austrii (1552 -1742) i Prus. (1742 – 1922) Tutaj także pierwsze cechy powstawały w średniowieczu, trwały w czasach panowania Austrii, w państwie pruskim i w polskim okresie międzywojennym. Przetrwały także okres II wojny światowej. Po zakończeniu działań wojennych, już w czerwcu 1945 roku, na mocy zarządzenia Izby Rzemieślniczej w Katowicach powstał w Lublińcu „Powiatowy Zwią-



zek Cechów”, do którego przystąpiło sześć cechów: Fryzjerzy i Krawcy z naszego powiatu należeli w pewnym okresie międzywojennym i wojennym do cechu w Tarnowskich Górach. W latach pięćdziesiątych XX wieku – głównie na skutek tzw. „domiarów podatkowych” zniszczono wiele zakładów rzemieślniczych. Dawnych mistrzów i pracowników prywat-

nego rzemiosła wchłaniały rodzące się – popierane przez ówczesny ustrój – Spółdzielnie Pracy. W 1956 roku powołano w miejsce „Powiatowego Związku Cechów” „Cech Rzemiosł Różnych”, który z pewnymi modyfikacjami i zmianami nazwy przetrwał do dnia dzisiejszego. Dnia 3 maja 1986 roku lubliniecki Cech otrzymał imię Walentego Roździeńskiego i nosi obecnie nazwę „Powiatowy Cech Rzemiosł i Przedsiębiorczości im. Walentego Roździeńskiego w Lublińcu”.

Należy podkreślić wielki walor organizacyjny koszęcińskiego – poza cechowego – rzemiosła z końca XIX wieku i z lat międzywojennych. Jest nim niewątpliwie założone (prawdopodobnie) w roku 1925 „Stowarzyszenia Kupców i Rzemieślników w Koszęcinie”, które przetrwało w niezmienionej formie do czasu wybuchu II wojny światowej. Wcześniej – jeszcze w pruskich czasach – w latach 1880 – 1922 istniało przy parafii Matki Boskiej Wniebowziętej przy kościele zamkowym, a od 1908 roku przy kościele NSPJ w Koszęcinie Stowarzyszenie noszące nazwę: „Handwerker und Gewerbeverein in Koschentin”. To apolityczne Stowarzyszenie zarówno w czasach pruskich, jak i w polskim okresie międzywojennym skupiało wszystkich prowadzących sklepy, restauracje i warsztaty rzemieślnicze Koszęcinian i prowadziło szeroko zakrojoną działalność społeczno – kulturalną, w oparciu o chrześcijańskie zasady. Stowarzyszenie posiadało swój sztandar od 1880 roku, który prawdopodobnie -ze względu na zmianę państwowości Koszęcina – „zniknął” w latach dwudzie-



stych XX wieku. Organizacja posiadała w okresie międzywojennym polski sztandar, który z kolei – także ze względów politycznych – „zniknął” chyba w pierwszych dniach II wojny światowej. W listopadzie 1957 roku koszęcińscy rzemieślnicy ufundowali nowy sztandar poświęcony – podobnie jak wcześniejsze – świętemu Józefowi – patronowi Rzemieślników. Na tym sztandarze zamieszczone są – oprócz innych napisów – dwie daty symbolizujące trwanie jedności rzemieślniczej w Koszęcinie -1880 i 1957. Koszęcińskie rzemiosło jeszcze raz zadokumentowało swoją ponad polityczną – żeby nie powiedzieć Europejską – jedność kulturową i religijną, fundując



sobie nowy sztandar, poświęcony w dniu 19 marca 2013 roku. Zamieszczono na nim trzy daty: 1880, 1957 i 2013 – świadczące o ponad 130 – letniej jedności Braci Rzemieślniczej w Koszęcinie. Gratuluję inicjatorom i organizatorom i przyłączam się w pełni do słów zamieszczonych na sztandarze: „Szczęść Boże Rzemieślnikom”.

~ ZIEMIA LUBLINIECKA W OBIEKTYWIE ~

Czekamy na wiosnę!

